

PAPERWORK

PATCHWORK



2

Anna  
Twardowska

ART IN

Stopka redakcyjna:  
Olga Żmijewska – redaktorka naczelna  
Bożena Chrostowska – poezja  
Karol Fryta – proza  
Dariusz Górkiewicz – redaktor muzyczny  
Ada Korzeniewska – graika  
Mariusz Kwiatkowski – dobry duch redakcji  
Marta Parafińczuk – publicystka  
Mariusz Sieniewicz – il padrino  
Szymon Żyliński – multimedia

Krzysztof Gryz (MINIMAL)  
Karolina Szymańska – pisze wiersze i opowiadania, na co dzień studentka, kocha podróże i taniec.

Szymon Żyliński – ur. 1980, debiutował w „Borussii” opowiadaniem „Kukulka”, współtworzył olsztyńskie pismo literackie „Zoo”. Lubi jeździć po świecie. Posiada vloga, do którego subskrypcji zaprasza <https://www.youtube.com/c/SzymonZyliński>

Tomasz Lary Rusak – rocznik przedstanowojenny. Od wczesnej młodości zaintrygowany różnymi formami sztuki. Aktywnie jako perkusista zaznaczył swoją obecność w olsztyńskich zespołach Izan, Ujadals, Faya. Dj w kultowych miejscach Olsztyna: OKOP, From, Masarnia, Vegas, Boomtown. Współtwórca i właściciel ostatnich wymienionych klubów. W latach 90 dziennikarz muzyczny w olsztyńskim radiu Wama i Gazecie Olsztyńskiej. Zapalony fotograf i podróżnik. Od lat nauczyciel angielskiego. Obecnie twórca i admin grupy Minimal Olsztyn na FB.

Dariusz Górkiewicz – ultramaratończyk, zakochany w Meksyku i kulturach prekolumbijskich, nie purysta jazzowy i nie purysta reżyserski. W wolnych chwilach zajmuję się teatrem i zajęciami poprzez muzykę i teatr.

Anna Twardowska – obraz fotograficzny jest dla mnie czymś najważniejszym, pierwotnym, przestrzenią pełną zakodowanych przez mnie informacji. Wiem, że nie każdy je widzi, ale ten, kto ma je zobaczyć – zrobi to na pewno. Najbardziej lubię fotografować bliskich. Uwielbiam tę energię, która pomiędzy nami przepływa w trakcie robienia zdjęć. Bardzo lubię moment, gdy wspólnie oglądamy efekt. I teraz pytanie – czy twój portret to bardziej ty czy bardziej ja?

Bożena Chrostowska – lubi szukać wiatru w polu.  
Wenta-Mielcarek – debiutująca powieści o tematyce interkulturowej, feministycznej utopijnej, Berliński. Alma Mater - Wolny Uniwersytet obecnie w Strasbourgu, z mężem i dwójką dzieci.

Adem Gutkinol

Ada Korzeniewska – artystka, matryzyska, harmider

Maria Deja – szalona córka, żona, i babcia dwójga nieletnich wnucząt. Uczy się w biegu. Uwielbia czytać, pisać, uczyć się, żyć i rozmawiać z ludźmi. W chwilach wolnych od powyższych zajęć naucza i projektuje konstrukcje budynków.

Agnieszka Lindner pochodzi z Dolnego Śląska, a obecnie mieszka na polsko-niemieckim pograniczu. Ukończyła kulturoznawstwo, pracuje na Viadrynie i dużo podróżuje. Książki uwielbia od zawsze. Najchętniej sięga po reportaże, biografie i dobre powieści z całego świata.

Michalina Janaszek – poetka, blogerka, copy. Autorka dwóch tomów poetyckich – Wiensze doktorany (2011) i Szuka medyczna (2016). Od 4 lat prowadząca Olsztyński Klub Literacki przy MOK-u. Jej teksty można znaleźć pod adresem: [linawinscie.blogspot.com](http://linawinscie.blogspot.com).

Karol Fryta – dziennikarz i marketingowiec. Gdy budżet pozwala lubi podróżować. Debiutował w „Portrecie”.

Szymon Rutkowski (MINIMAL)

Olga Żmijewska – Europejka, idzbarszczanka, kulturoznawczyni, tłumaczka przysięgła języka niemieckiego, kilku innych języków, a także kultur miejskiej i wiejskiej, polskiej i niemieckiej oraz wysokiej i popularnej. Żyje w szpagacie i w drodze. Kocha takie życie!

Piotr Binkowski – poszukiwacz wygód

wszechstronnie bezrobotny

Kacper Kozłowski – student grafiki komputerowej, pasjonat heavy metalu, Japonii oraz concept artu.

Wojciech Jabłonowski

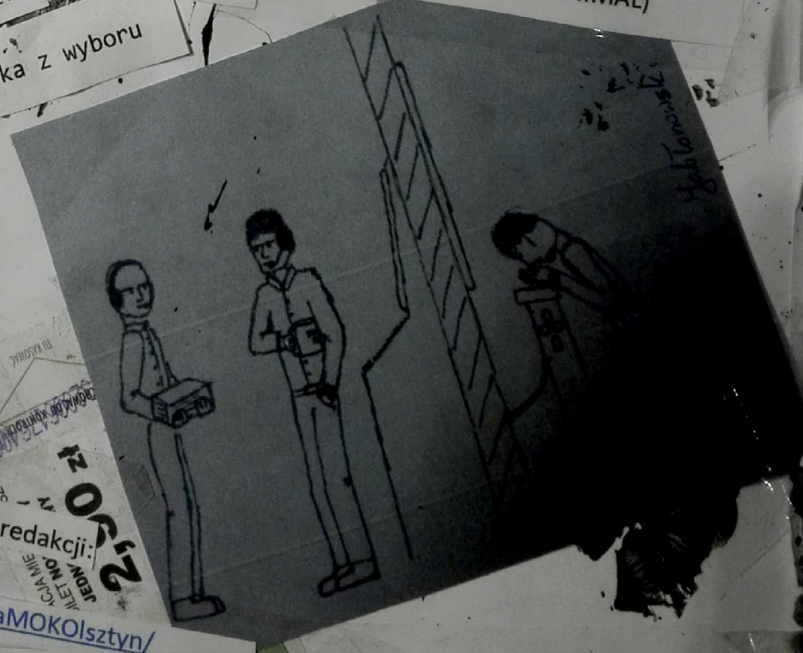
Marta Pietraszun  
Michał Leiwark – mieszka na Warmii. Zawodowo zajmuje się pisaniem. Czyta dla przyjemności.  
Marta Parafińczuk – miłośniczka podróży, Zatorzanka z wyboru

Jarek Poliwo (MINIMAL)

Ewa Rubczewska (MINIMAL)

Pixomnia Studio Graficzne

Zapraszamy do nadsyłania swoich prac i pomysłów na adres redakcji:  
[papierowka@mok.olsztyn.pl](mailto:papierowka@mok.olsztyn.pl)  
Facebook: <https://www.facebook.com/groups/PapierowkaMOKOlsztyn/>



Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych materiałach.

# Pudrowiec

Wtedy już chodził trzy razy dziennie do kościoła.

Spóźniał się, nigdy nie był na czas, tak jakby sakramentalne przebywanie z bliźnim nie miało dla niego znaczenia. Za to ZAWSZE zostawał po mszy. Na klęczkach i ze złożonymi rękoma wydawało się jakby przysypiał. Tak naprawdę łączył się z bazą.

Towarzysze wbudowali nadajnik w podłokietniku ławy kościelnej i jedynie on, wykonawszy wcześniej uzgodnioną kombinację ruchów, mógł uruchomić mechanizm komunikacyjny, który czytywał dane z mikrofonu krtaniowego wszytego w szkaplerz. To cudo techniki, nadajnik wielkości znaczka pocztowego, idealnie zmieściło się pod podobizną Jezusa.

To było już po upadku imperium, a może jeszcze przed jego latami chwały – zależy jak na to patrzeć. Był szpiegiem w uśpieniu. Koniec systemu nie oznaczał wcale zwolnienia ze służby. A w zasadzie nie było go z czego zwalniać – od początku stanowił eksperyment kolonizacji świata, Elementem Mao.

Nie mógł znieść tego, że w miarę upływu lat jego azjatyckie rysy coraz bardziej się uwidaczniały. Terapia genowa we wczesnym dzieciństwie miała temu zapobiec. Frakcja doskonale wiedziała z czym będzie się borykał; żyjąc wśród Polaków. Musieli zaprojektować go na Polaka-cebulaka, słowiańskiego ziemniaka. Nie mógł odstawać od innych.

Nie był jedynym, ale program uniemożliwiał kontakt z innymi uczestnikami. Nawet jeśli czuł się momentami samotny, to mógł kontaktować się jedynie z oficerem prowadzącym poprzez zamontowaną w kościele skomplikowaną aparaturę komunikacyjną. Z czasem, rok dwa po Okrągłym Stole, głos przełożonego został zastąpiony przez nagranie w języku mandaryńskim. Za bardzo mu to nawet nie przeszkadzało, ważne były raporty, które zdawał. Jako taksówkarz budował bazę danych swoich pasażerów. Z brzuszkim, sumiastym wąsem budził sympatię – ludzie go lubili i wierzali mu się z sekretów, gdy woził ich z Sielskiej na Niepodległości.

Pierwszy kryzys przyszedł na kilka miesięcy przed stanem wojennym.

Gdy urodził mu się syn był przekonany, że go rozszyfrowali, że wpadł. No bo jak wyjaśnić fakt, że jego dziecko przypominało Azjatę, a dodatkowo na porodówce poszła plotka o prawdziwej narodowości niemowlaka.

– No wie Pani, żeby tak się puszczać? – warknęła położna, przynosząc po raz pierwszy do karmienia nowo narodzonego chłopca. – I to z obcokrajowcem? Nie Polakiem? – Przekrwione po porodzie oczy matki wezbrały łzami. Nie tego się spodziewała, gdy zobaczy swoje tak długo wyczekiwane dziecko.

– Ma pani tego swojego Chińczyka – rzuciła położna na odchodne i z odrazą cisnęła obcego bachora na pierś rodzicielki.

Rzeczywiście. Chłopiec był cały żółty, a skośne oczy pusto patrzyły na tę polską kobietę.

– Może podmienili mi syna? – pomyślała i utonęła we łzach. Z natury była pokorna, więc nie zrobiła awantury, tylko jak dobiegł czas karmienia podpytała siostrę: – Ja przepraszam, dałam mu jeść, ale to chyba nie jest mój syn. On nie wygląda na Polaka.

– Jak Pani sypiała z Chińczykiem, to ma Pani chińskie dziecko! – rzuciła pielęgniarka i wyrwała malego z objęć matki, która histerycznie zaczęła zanosić się płaczem.

Nie spodziewał się tego również ojciec dziecka! Zaskoczyło to także jego oficera prowadzącego, który od czasu strajków przebywał w Polsce i nadzorował kilka rodzin z programu. Materiał genetyczny dawcy nasienia był odpowiednio zmodyfikowany – cechy rasowe nie miały prawa ujawnić się tuż po urodzeniu. Jednak eksperyment, ten wielki krok, był in statu nascendi, więc mogły zdarzyć się aberracje. Ważne, żeby nowo narodzone dziecko nie wzbudziło jeszcze większych podejrzeń.

Trzeba było działać ekspresowo!

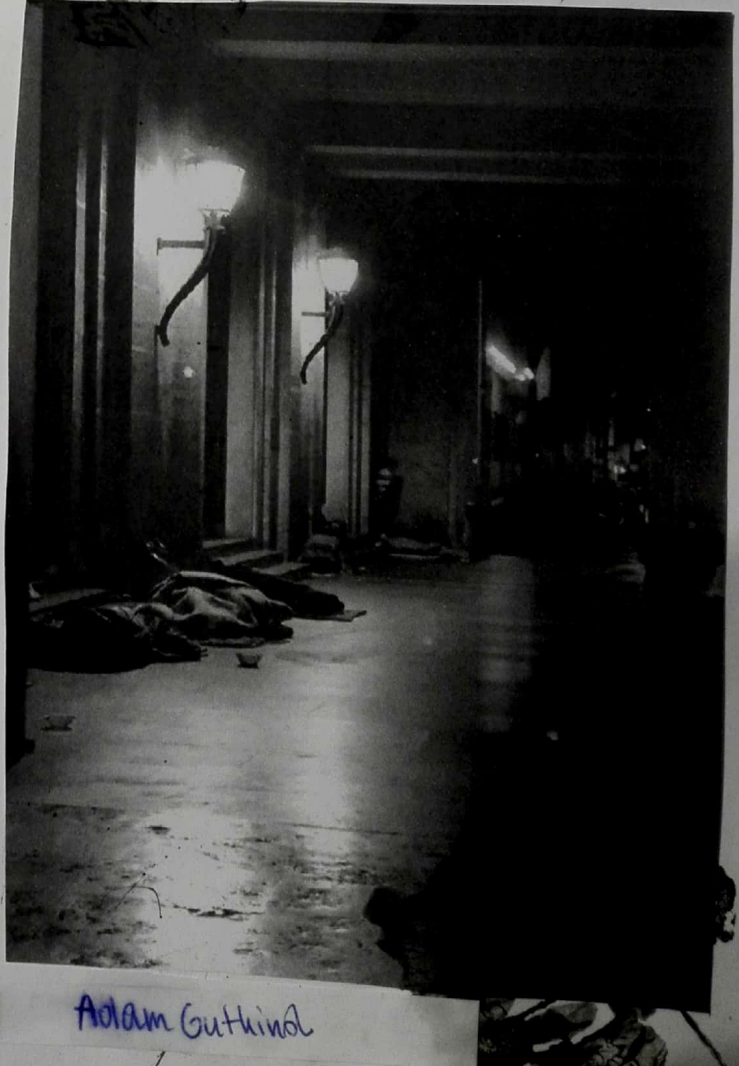
Oficer spotkał się z ojcem-agentem i przekazał mu szczepionkę propolską. Podczas pierwszej wizyty w szpitalu, gdy tylko umożliwiono mu potrzymać chłopca, wprowadził igłę w pośladek dziecka przy pomocy mini-strzykawki ukrytej w obsadzie długopisu marki Zenith 7, notabene najpopularniejszego długopisu PRL, wyprodukowanego w Częstochowskich Zakładach Materiałów Biurowych według technologii przejętej przez Chińską Republikę Ludową po znacjonalizowaniu fabryki amerykańskiego Parkera w Szanghaju.

Celowal na ślepo, bo nikt przecież nie pozwoliłby mu kluczyć własnego dziecka, i to jeszcze w szpitalu! Ale chodziło o czas. Chińszczyzna niepotraktowana w zarodku już na zawsze skazałaby chłopca na fałdę nakątną i żółte ciało. A chodziło przecież o różowawą, prosiakową – jak nazywano ją podczas szkoleń – skórę.

Udało się!

Lekarze u chłopca stwierdzili żółtaczkę, tak wtedy typową wśród noworodków. Mój ojciec poszedł za wszystko podziękować do kościoła. Przykleknął i przesunął szkaplerz w kierunku krtani.

Szymon Żyliński



Adam Guthind

Kartka z pamiątnika niemieckiego  
lekarza Wilhelma von Dietricha,  
pracującego w szpitalu w Kortau

Postanowiłem opisać szczegółowo przedpołudniowy spacer, który odbyliśmy dziś z Ritą, ponieważ był on pełen tajemniczych i niepokojących znaków.

Dzisiejsza niedziela, 20. sierpnia 1933 roku, rozpoczęła się dobrze, bo moja żona w końcu postanowiła wyjść z naszego domu przy Schnellerweg, by zwiedzić choć fragment miasta, w którym zamieszkała za moją namową, acz bardzo niechętnie.

Na początek postanowiłem więc pokazać Ricie Altstadt – serce miasta, w którym przyszło nam żyć.

Do Górnej Bramy dojechaliśmy naszym Oplem. Dalej poszliśmy pieszo, delektując się słońcem i tłumem dostojnych przechodniów.

Miałem nadzieję, że ze względu na to, że za tydzień, jak wiadomo, przyleci do Allenstein kanclerz Rzeszy Adolf Hitler, by wziąć udział w uroczystości upamiętniającej nasze zwycięstwo nad Rosjanami w 14. roku, domy i ulice Starego Miasta będą pięknie przystrojone.

Nie myliłem się. W oknach mieszczańskich kamienic błyszczały wyprane firanki, a liczne skrzynki na kwiaty ozdabiała feeria barw nasturcji i pachnących groszków. Flag narodowych jeszcze nie ma, powieszą je pewnie w ostatniej chwili.

Ale to nie unoszący się wokół zapach kwiatów napawał mnie rozkoszą tylko woń perfum Chanel nr 5, bo choć moja żona używa ich niezmiennie od kilku lat, ciągle potrafią zaskoczyć mnie swoim niezwykłym aromatem.

Przechodnie oglądali się za nami z powodu wyglądu mojej pięknej żony. Rita wybrała na dzisiejszy spacer białą, jedwabną suknię, która miękko otulała jej zgrabną kibić i szczupłe łydki. Słomkowy kapelusz rzucał cień na twarz mojej miłej, podkreślając czerni jej oczu i bladość policzków.

Nieskromnie sędzę, że mogliśmy się podobać oboje. Także ja – w dwurzędówce, jasnych spodniach i letnim kaszkiecie plecionym z naturalnej trawy prezentowałem się z pewnością dobrze.

Na Oberstrasse, którą miejscowi nazywają Promenade (jakaż z niej promenade w porównaniu z promenadami Berlina) spotkaliśmy Davida Mendelsohna, właściciela zakładu krawieckiego, u którego mam w zwyczaju zamawiać garnitury.

Nie przedstawiłbym może Ricie Herr Mendelsohna, ze względu na jego skromne pochodzenie, ale ów sympatyczny starzec jest, podobnie jak moja żona, wyznania mojżeszowego. Ponadto Herr David jest także tutejszym królem kurkowym, ale przede wszystkim ojcem Ericha, którego projekty architektoniczne są sławne w całej Rzeszy. W Allenstein zrealizowano zresztą jego pracę dyplomową – dom przedpogrzebowy – Bet Tahara, który, ze względu na kontakty Rity z żydowskimi rodzinami, będziemy pewnie niekiedy nawiedzać.

Z Davidem Mendelsohmem wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości, po czym zapytaliśmy go o najnowsze sukcesy zawodowe syna, wysłuchując z ciekawością relacji dumnego ojca. Zwykle, miła pogawędka, ale tuż przed pożegnaniem David Mendelsohn zamyślił się przez chwilę, po czym powiedział cicho:

- Herr Dietrich, wydaje mi się, że to było nasze ostatnie spotkanie. Już wkrótce nie będzie pan mógł lub chciał ze mną rozmawiać.

Zaskoczony, a nawet urażony, zaprzeczyłem zdawkowo, składając niefortunną wypowiedź na karb podeszłego wieku rozmówcy.

Ruszyliśmy dalej, przyglądając się kamienicom prawej i lewej pierzei Oberstrasse. Cóż, elewacje budynków przy Promenade nie mogą się równać z bogato zdobionymi frontami domów w Berlinie czy nawet Breslau, rodzinnym mieście mojej wybranki.

- Przecież mieszkamy teraz w prowincjonalnym mieście na wschodnich kresach Rzeszy, nie wymagamy zbyt wiele - powiedziała moja mądra żona, spoglądając na jedną z niewyszukanych płaskorzeźb.

Tramwaj jeździ po Promenade rzadko, zatem nic nie zakłócało nam spaceru. Spacerujący ludzie, eleganccy i dystyngowani, jak to w świąteczne południe, rozmawiali między sobą niezbyt głośno po niemiecku, jidysz lub po polsku. Kobiety w kolorowych sukniach z mocno zaznaczoną talią, albo w jasnych bluzkach i ciemniejszych, jednobarwnych, długich spódnicach, mężczyźni w eleganckich lekkich garniturach i dzieci schludnie ubrane, wszyscy z nakrytymi głowami, wyglądali dostatnio. Wiem, że w Allenstein żyje także biedota, ale nie było jej dziś widać w Altstadt.

Przy Oberstrasse jest wiele różnego rodzaju sklepów oraz zakładów usługowych, ale w niedzielę wszystkie są zamknięte.

Minęliśmy Streits Hotel mieszczący się pod numerem drugim, by przez chwilę zatrzymać się przy wystawie kolonialnych delikatesów Gustawa Opalli. To u niego nasza służąca zaopatruje dom w ryby, mięso, wędliny, południowe owoce, koniaki, likiery, wina, papierosy dla mnie i cygara dla naszych gości.

Na skrzyżowaniu Promenade z Oberkirchenstrasse zatrzymaliśmy się na dłużej. Po prawej, zza świątyni ewangelicko - augsburskiej i Steinbrücke, wyłoniła się ogromna bryła średniowiecznego zamku, a po lewej zza szeregu niewielkich mieszczańskich domów - monumentalna gotycka katedra.

- To tu wychowywał się Erich Mendelsohn - powiedziałem, wskazując na narożną kamienicę. - Czy mógł zostać kimś innym niż architektem?

- Tak mógł. Duchownym lub sławnym astronomem! - z przestawką celuje Rita.

Dotarliśmy do Marktplatz. Chciałem zaprosić żonę na obiad w jednej z siedmiu restauracji i kawiarni mieszczących się w Altstadt, ale odparła, że nie jest głodna. Wolała obejrzeć budynek ratusza, gdzie działa magistrat, a potem, zboczywszy nieco z trasy, przyjrzeć się elewacjom znajdujących się w pobliżu kin: Metropol oraz Luisentheater.

Wyszliśmy na Richtstrasse. Po obu jej stronach stoją mieszczańskie kamienice, które miasto niekiedy wynajmuje, by ulokować tu ważne urzędy. Czytałem onegdaj w „Allensteiner Nachrichten”, że w domu Phillipa Herrnberga do 1880 roku mieścił się sąd miejski, który teraz ma swoją siedzibę przy najpiękniejszej z ulic tego miasta – Kaiserstrasse.

Minęliśmy sklep Maksa i Georga Hirschfeldów, u których do dobrego tonu należy targowanie się, a potem, nieopodal domu towarowego „Grunwald und Blank” należącego do kupca Adolfa Lewinsona, spotkaliśmy burmistrza Georga Zülcha z żoną i trojgiem dzieci.

Wymieniłem z Herr Zülchem poglądy na temat pogody i powieści Thomasa Manna „Der Zauberberg”, którą, jak się okazało, obaj niedawno czytaliśmy. Panie rozmawiały o codziennych sprawach, gdy nagle Frau Gisela Zülch stwierdziła, że musi nam opowiedzieć sen, który dręczy ją od dłuższego czasu.

- Śni mi się, ale śni tak, jakbym przeżywała to na jawie, że my wszyscy stąd uciekamy – mówiła. Jest zima, dzwigamy coś i gubimy, nawołujemy dzieci, które nie mogą nadążyć...

- Już dobrze, dobrze, kochanie – Georg próbował uspokoić żonę. – Sen mara, Bóg wiara. Spójrz, jak piękny jest dzisiejszy, świąteczny dzień.

Mimo pogodnego tonu słów Zülcha odniosłem wrażenie, że jest on przygnębiony i chciałby się już z nami pożegnać.

Nie zatrzymywaliśmy przyjaciół dłużej. Przed nami, za krzyżówką Richtstrasse, Bankstrasse i Krumstrasse, był cel naszego spaceru – Johannesbrücke.

Stanęliśmy przy balustradzie mostu i jakiś czas w milczeniu przyglądaliśmy się rwącej Alle. Wiał letni wiatr, który przyniósł do nas orzeźwiający chłód i wilgotny zapach rzeki. Potem rozmawialiśmy o dawnych, dobrych czasach.

Odróciłem się ku Staremu Miastu. Ze zgrozą spostrzegłem, że szare elewacje budynków przy Richtstrasse na krótką chwilę zmieniły barwę na ognistą czerwień. Spojrzałem w niebo. Słońce świeciło jak zwykle, niebo było lazurowo niebieskie. Tylko nad Kortau, nad moim szpitalem w Kortau, wisi ciężka, ołowiana chmura.



Pixomnia  
Studio  
Graficzne

# LITERATURA KOBIET

Agnieszka Lindner

Chimamanda Ngozi Adichie jest feministką i pisarką. Pochodzi z Nigerii, mieszka na zmianę w ojczystym kraju i w USA, a swoje książki pisze w języku angielskim. Urodziła się w rodzinie akademickiej, dorastała w mieście uniwersyteckim, ukończyła kilka kierunków studiów. Czytając „Amerykaane” łatwo wywnioskować, że losy głównej bohaterki, Ifemelu, zawierają wiele elementów autobiograficznych.

Ifemelu poznajemy podczas wizyty u fryzjera. Przed ostatecznym powrotem z USA do Nigerii kobieta postanawia zapleść sobie warkoczki w afrykańskim salonie. Tak banalny, wydawałoby się, temat jak włosy pojawia się w książce kilkakrotnie i jest bardzo istotnym symbolem walki o wolność i niezależność czarnoskórych kobiet.

Ale wróćmy do Ifemelu. Na kolejnych stronach powieści czytelnik stopniowo poznaje jej historię: dzieciństwo spędzone w Nigerii, pierwszą miłość, studia, wyjazd na stypendium do Stanów i próbę odnalezienia się w tamtejszej, zupełnie obcej, rzeczywistości. Życie w USA, niewypowiedziane konflikty między białymi i czarnymi, między Afroamerykanami, a Afrykańczykami, migawki z codzienności nigeryjskich elit, to tylko niektóre aspekty powieści. Adichie opisuje głównie środowisko ludzi wykształconych, jej bohaterka ukończyła studia i płynnie, bez akcentu, mówi po angielsku (choć i ten akcent to temat rzeka...), a mimo to czuje się obco. Spotyka się z rasistowskimi uwagami, które są tym bardziej bolesne, że wypowiadające je osoby nie zdają sobie sprawy ze zaczenia swoich słów.

Powieść składa się z dwóch płaszczyzn. Główna narracja płynie wartko i lekko: poznajemy codzienne zmagania młodej dziewczyny w obcym kraju. Jej życie nie jest proste, ale to nie jest nowy temat w literaturze. Jednak pojawia się warstwa refleksyjna: pojedyncze, krótkie zdania, wnioski, komentarze, które walą czytelnika między oczy i o których myśli później tygodniami. Taka jest właśnie, moim zdaniem, powieść idealna.

Ale uwaga! Po przeczytaniu tej książki będziecie inaczej postrzegać świat. Przystaniecie widzieć go tylko i wyłącznie z własnej perspektywy. Poszerzy się Wasz horyzont i będziecie w stanie dostrzegać i rozumieć więcej, niż przed lekturą. Jest to bardzo istotna książka, która umożliwia wejście w skórę drugiego człowieka (tę czarną skórę). To jest powieść łamiąca stereotypy i uprzedzenia - jeśli tylko się na to otworzymy.

Można pomyśleć: ok, ciekawe, może przeczytam. Ale to mnie w sumie nie dotyczy, w końcu gdzie USA, gdzie Nigeria, a gdzie Polska? Błąd! W dzisiejszym, zglobalizowanym świecie sztywne podziały i granice coraz bardziej ulegają zatarciu, a obce sobie do niedawna kultury wzajemnie się przenikają. Świetnym przykładem tych procesów jest najnowsza powieść Grażyny Plebanek, wydana w ubiegłym roku, „Pani furia”. Pierwsza polska powieść, której główną bohaterką jest osoba o innym kolorze skóry niż biały.

Mowa o Ali, pochodzącej z Demokratycznej Republiki Kongo, młodej policjantce, która mieszka w Belgii, wygląda jak Afrykanka, a czuje się Europejką. Wyjechała ze swojego ojczystego kraju jako siedmiolatka i niewiele, oprócz kilku mglistych wspomnień, łączy ją z tym krajem. O Afryce często wspominają członkowie rodziny Ali, jej rodzice, ciotka i babcia, dla których wizja powrotu do Kinszasy, nawet po wielu latach spędzonych w Europie, jest realną i bardzo wytęsknioną perspektywą. Natomiast codzienność głównej bohaterki i jej braci, w której skomplikowane rodzinne relacje i problemy dorosłych nieustannie towarzyszą szkolnym i podwórkowym sprawom, nierozzerwalnie łączy się z Belgią. Mimo iż nie zawsze jest im dane czuć się jak u siebie. Kwestia tożsamości, poczucie obcości, przywiązanie do korzeni oraz wewnętrzny przymus kontynuowania rodzinnych tradycji, to tylko niektóre z motywów obecnych w powieści Plebanek. Chętnie poczytałabym więcej o dorosłym życiu Ali, jej codziennej pracy w policji, o jej związku z Dorianem i życiu poza pracą. Autorka włożyła mnóstwo wysiłku w porządny research - spokojnie mogłaby napisać 200 stron więcej. Głębiej się wgrzyźć w dusze bohaterów, zdradzić więcej szczegółów z ich codzienności...

Na spotkaniu autorskim Grażyna Plebanek wymieniła tytuły książek, które przeczytała w ramach przygotowań do napisania „Pani furii”. Była wśród nich m.in. „Amerykaana”. I to właśnie wpływ tej książki jest, moim zdaniem, niezwykle widoczny na pierwszych dwudziestu stronach. Na szczęście potem nabiera ona własnego tempa, skręca w swoją właściwą stronę stając się pełnokrwistą, wciągającą i świetnie napisaną powieścią. Jest to książka wielowątkowa, opowiadająca losy wyrazistych i barwnych bohaterów.

Po raz pierwszy polska autorka tematem swojej powieści uczyniła kwestię imigracji i integracji przybyszów z innych kultur w Europie. Jej opowieść toczy się wprawdzie w Belgii, ale opisuje zmiany, które, w różnym stopniu, dotyczą wszystkich europejskich krajów. Bardzo wartościowa lektura!

Marta Pietwaskun



zadbały o siebie. Wykupili  
otwartość, równość i solidarność,  
Od tej chwili **zawsze**  
potrzeba lepszego happy endu  
**Trzeba myśleć**  
czy przetrwają

# Olga Żmijewska Kobieta - wąż

Na mecz polo wybrała letnią sukienkę w kolorze kości słoniowej. Przewiewny materiał na jej filigranowym, zgrabnym ciele układał się w literę x albo - kto woli - w smukłą klepsydę, jakiej przedszkolaki używają przy myciu zębów. Koronkowa spódnica ledwie zakrywała trzy czwarte jej opalonych ud o obwodzie niewiele większym niż bicepsy, które to - wraz z ramionami - odsłaniała kopertowa góra

Dzięki licznym zaszewkom przylegała ona tak blisko ciała, że z każdym oddechem groziła eksplozją zawartości, której objętość była groteskowo nieproporcjonalna do reszty ciała tej drobnej tlenionej blondynki. Niemniej jednak, skromny dekolt w kształcie łódki zakrywał wszystko z obojczykami włącznie. Piętnastocentymetrowe szpilki na koturnie wykonane były z materiału imitującego skórę węża.

Na ich zaokrąglonych czubkach odbywała się erupcja koronek, falban i tiulu - zupełnie, jakby nieszczęśnik przed swoją śmiercią na ołtarzu mody wypluł resztki po spożytej wcześniej sówce. Cienkie i niebotycznie wysokie obcasy były delikatnie utylane w glebie, tu i ówdzie okraszanej żdźbłami wściekłozielonej trawy.

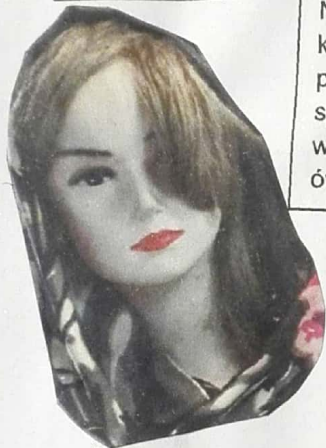
To one właśnie - obcasy, a nie resztki trawy - odpowiadały za strzelistość sylwetki jasnowłosej oraz niekontrolowane skoki adrenaliny jej rozmówców. Wymuszały bowiem odpowiednią postawę usztywniającą łydki i wypychającą jej świeże atrybuty ku interlokutorowi, na którego spoglądała ogromnymi, krągłymi oczami bohaterki mangi.

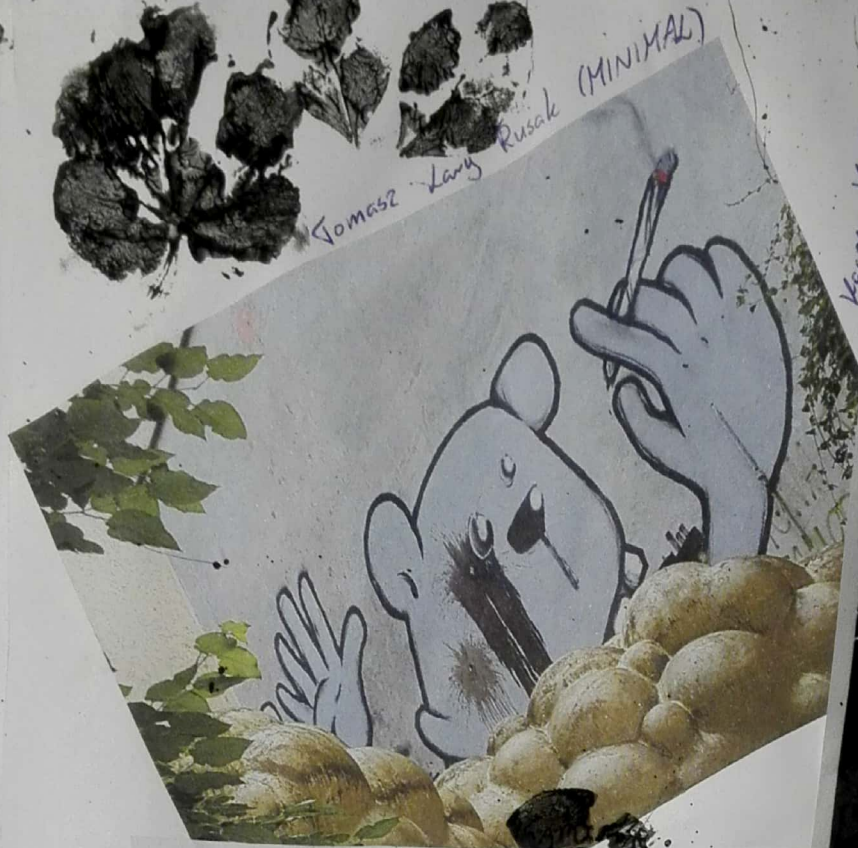
Ich błękit odnajdował swoje odbicie w filuternym toczku. Ten, usadowiony po lewej stronie przedziałka, przypominał wypluwkę z zimorodków lub kukułcze gniazdo utkane z chabrów zza miedzy. Z udrapowanych fałd materiału wystawały dwa piórka - jedno prężnie sterzące, drugie nieco przywiedle. Lekko zmęczone częstym farbowaniem włosy opadały w strąkach na ramiona i spoczywały na wisienkach torcików najlepszego chirurga w mieście.

Tak, ozdoba włosów była jedynym kolorowym akcentem w tej stonowanej stylizacji.

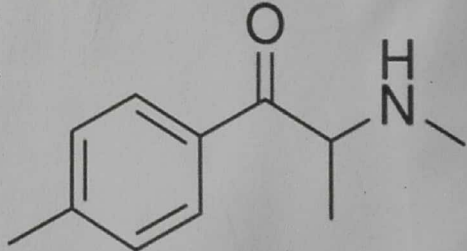
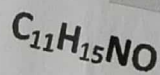
Dzisiaj nawet zrezygnowała ze szminki. Wydatne usta sprawiały wrażenie ukąszonych i - wobec braku bardziej profesjonalnych środków na boisku do gry w polo - doraźnie opatrzonych smalcem z bufetu.

Stojąc na tymczasowej, zbitej z nieheblowanych desek sosnowych podłodze nerwowo skanowała towarzystwo. Kto się odważy? Komu owinie się wokół szyi i kogo poddusi jak cytrynkę?





Michał Leiwark



Teraz mogę zrozumieć wszystko. Naprawdę, jeżeli chodzi o to, jak w środku wypala nas bardziej niż po najlepszym kryształ. Wiem prawie wszystko. Na spokojnie możemy rozmawiać o emocjach tak silnych, że lej po ich wybuchu miałyby głębokość stą metrów. Mógłbym być konsultantem w filmach o superbohaterach. Palilibym szluga i doradzałbym znudzonym głosem, jak ma wyglądać pożoga. Określiłbym, w jakim miejscu najlepiej umieścić cienie mieszkańców, które zostaną po wybuchu największej w historii bomby atomowej.

Żeby się wyciszyć zjadam zapiekankę z czterema rodzajami sera. Każdym z tych rodzajów brudzę sobie spodnie. Popiłem jakimś strasznie drogim soft drinkiem, który smakował jak rozwodniona cola. Kiedy poinformowałem kumpla, że chciałbym znowu ópać, to sprzedał mi radę swojego diler: – zamiast wydać na sztukę, kup sobie, kurwa, pizzę.

Dobry sprzedawca zawsze stara się zawiązać bardziej osobistą relację z klientem. Kolczyng nawet na rynku dragów wkracza tryumfalnie. Ubrany cały w hajs.

Ale, kurwa, to działa. Wydaję kasę na zarcie i przestaję nerwowo szukać jakiejś opcji na kryształ albo szybki seks. Chowam się między budynkami i wstydzę się plamy na spodniach po czterech rodzajach sera, która jest obrzydliwie tłusta.

Jestem w tym mieście od godziny, a wszystko co mi się z nim kojarzy to wejście kwasu i dobra trawa. Jedyne dobre wspomnienia związane z tym molochem, to momenty powrotu do domu.

Chciałbym z kimś porozmawiać. Dzwonię do kolesia, którego poznałem na grupie wsparcia. Jest naprawdę sympatyczny, ale kiedy zaczyna mówić do mnie jak mój terapeuta, przechodzę na stendbaj i przestaję go słuchać. Jakby nauczył się tych zdań na pamięć, łącznie z przecinkami. Nie słucham go, tylko marzę o tym jak wchodzi kryształ, mocnym uderzeniem z tyłu głowy. Chciałbym, żeby była już noc, bo wtedy nie widać wypalonych źrenic.

Radzi mi, żebym poszedł porobić zdjęcia komórką, zamiast myśleć o tym jak czekasz w napięciu na pierwsze wejście fazy. Cały czas słucham go tylko trochę, bo w nosie czuję wspomnienie źle pokruszonego kryształu.

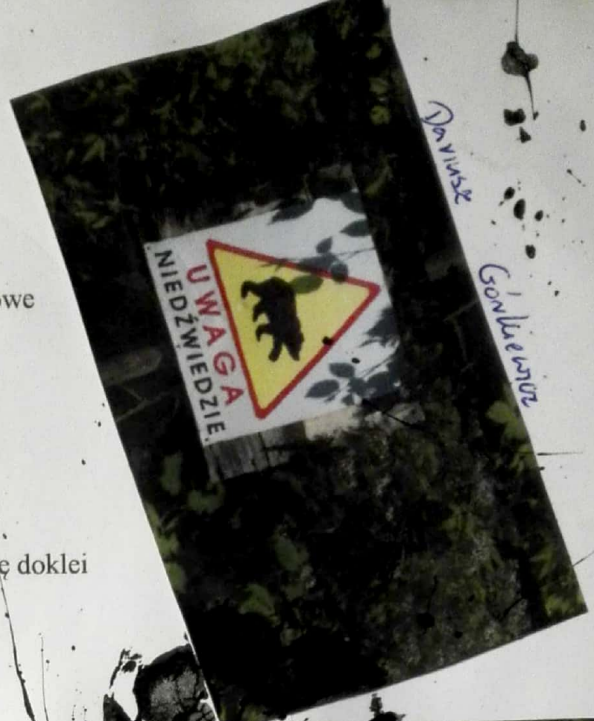
Kończę rozmowę kłamstwem. Mówię, że zaraz mam pociąg. Szybko spalę papierosa. Teraz rozumiem już wszystko. Wiem, dlaczego ludzie skaczą z ósmego piętra, tną się i uderzają głową w ścianę aż do lekkiego zamroczenia. Wiem też, że z tego powodu wydymałem kiedyś laskę w usta tak mocno, że się zrzygała w trakcie. Myślę, że nie chciałem tego nigdy wiedzieć. W szczelinach próbuję naćpać się dobrymi wspomnieniami. Zaciskam oczy mocno, żeby skruszyć w głowie kryształ. Jest to tak upierdliwe. Nigdy wcześniej nie sprawiało mi to trudności, nawet jak łamałem na nim karty. Teraz czuję, jak pękają na nim moje zęby.



## Gerard Wojgienica

w tym nocnym sprzężeniu zwrotnym  
brak mi tylko tchu  
jak tak mogłeś?  
Ty, z tą swoją chałwą na ustach  
wzięłeś, zebrałeś, polepiłeś  
rzuciłeś te swoje pieprzone baloniki, sznurki, centra niehandlowe  
i jeszcze wzięłeś i wyszedłeś  
w norweskim stogu kolorowych owiec  
no weź się chłopie ogarnij  
tak nie można ludzi lepić bez konsekwencji jak ciasto  
przecież jest 3 rano, a ja o nich wszystkich myślę, czuję ich?  
coś Ty narobił  
samozwańczy sprzedawco bliskości  
i wszystko tak rozważnie - tu Pani wsadzi nogę, tu się wątrobę doklei  
tak odważnie, tak kurwa skromnie  
tylko, żebyś sobie nie myślał, że to dla Ciebie napisałem  
w życiu  
z internetu zerznąłem  
to dla nich. zanieś im to proszę, niech se interpretują  
Ci ludzie, z którymi jeszcze raz kiedyś chciałbym się spotkać  
jak zwykle nie było żadnego przypadku  
nie wszystkie imiona zapamiętałem  
ale za wszystkie jestem wdzięczny  
te białe włosy zupełnie jak mojego brata z Kłajpedy i jego krzyk  
niejedne łzy co sobie spłynęły w popłochu  
co są z wody, soli, piasku, energii  
i z czegoś tam jeszcze co każdy przeżył, nawet jeśli wcale nie chciał  
ale teraz ma  
za siłę człowieka co umie pochwytać lecące w poprzek ciało ot tak sobie od niechcienia  
za brodatego cierpliwość i trochę kaczkowaty(?) chód  
ach, no i za dotyk  
szybko powychodzili rozplynie się w smolistym pośpiechu  
odbieram to wszystko bardzo personalnie  
mam w brzuchu coraz więcej odczuć zamiast coraz mniej  
późkowała mi dziewczyna, z którą się związałem  
a ja nie zdążyłem podziękować dziewczynie nie z nad Welu  
czasami zgrabniej jest nic nie mówić, tylko się oddać ciężarowi  
ja tylko podałem dalej to coś co można sobie poprzerzucać z centrum do centrum  
i to On jest za to odpowiedzialny, nie ja  
on to zorganizował  
a tamten chłopak rzeczywiście wychodził jak deportowany z państwa umysłu  
za niezrobienie obiadu  
miał już bramę w oczach  
a niektórzy w ogóle wzięli i nie wyszli  
dalej tam siedzą  
rozbierają się na czynniki pierwsze  
i ja to rozumiem, też czuję się coraz bardziej poruszony  
coś Ty nawyprawiał  
już ja się z Tobą policzę  
za tę nieprzespaną noc  
za te wszystkie dobre uczucia  
za teraz gdy tam byliśmy  
i przeszywa nas kiczowaty dreszcz padającego za oknem śniegu  
za tę pieprzoną chałwę  
za sznurki i baloniki  
za zielony i za różowy i nie wiem za który bardziej  
za serce każdego z Was  
i za Twoje, Ty, w tej dużej czapce ze Szpicbergenu

oto ciało moje



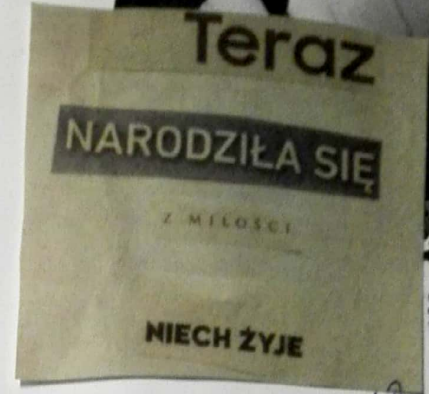
Karolina Szymańska

## Stworzona

(MINIMAL)  
Jurek Relwiko

Znowu siedziała w gabinecie pośród szarych ścian. Wystrój ich wszystkich nie różnił się bardzo między sobą. Biurko, fotele, wszystko proste i sztywne, kameralny wystrój zapewne miał sprawiać wrażenie intymności i bezpieczeństwa. Nie uważała jednak tego zabiegu za niezbyt udany. Jedynie kwiaty stojące na parapecie ożywiały wnętrze. W tym gabinecie wyróżniały się ściany w odcieniu szarości, które budziły w niej niepokój.

Kolejny nudny psycholog. Oni też niewiele różnili się między sobą. Wystarczało jej, że są to mężczyźni. Z nimi potrafiła sobie radzić doskonale. Kolejna paplanina, która nic nie mogła wnieść do jej życia. Bo co niby miało się zmienić? Oszukiwała samą siebie, że może trafi w końcu na terapeutę, który sprawi, że będzie potrafiła odbudować siebie. Czuli, że wspomnienia utkwily w niej zbyt głęboko, chwasty rozprzestrzeniły się zbyt szybko, bo od razu z nimi nie zawalczyła. A ten zakorzenił się wyjątkowo dobrze i wciąż się rozrastał. Bała się kolejny raz przedzierać przez niego. Po kolkach zostawały krwiste plamy w jej umyśle.



Siedziała na podłodze z kotem na kolanach drapiąc go za uszami i wsłuchując się w słodkie mruczenie. Mamusia i tatuś siedzieli na kanapie nad nią i oglądali telewizję. Tatuś zaczął głaskać ją po długich rudych falach okalających jej szczupłą twarz. Byli szczęśliwą rodziną. Gdy mamusia wyszła do kuchni po niedzielny obiad tatuś szepnął jej do ucha: Niedługo będziesz mruścić jak ten kotek. Zaśmiała się. Mruczenie jest słodkie. Byli bardzo szczęśliwą rodziną.

Miała lepszy pomysł. Pobawi się trochę z tym nudziarzem, który na pewno nie będzie potrafił jej zaproponować nic odkrywczego. Zrobi to, co potrafi najlepiej. Przecież całe życie wmawiano jej, że do tego została stworzona.

Gdy zaczął zadawać jej męczące pytania, to postanowiła, że go uciszy. To ona miała władzę, to ona testowała tych wszystkich terapeutów, nigdy odwrotnie. Może wcale nie chciała się wyleczyć? Może przychodziła tu tylko po te chwile przyjemności? Po te momenty niepewności, czy uda się jej złapać kolejnego naiwniaka. O tak, była w tym dobra. Czasem aż nie mogła uwierzyć, że to jest tak łatwe. Każdy gest miała starannie dopracowany. Grała w tym przedstawieniu główną rolę.

Psycholog miał na oko czterdzieści lat, sterczące czarne włosy z pierwszymi oznakami siwizny, lekki zarost i coś ciekawego w oczach czego nie potrafiła uchwycić. Nie zauważyła obrączki na palcu. Urabianie go to będzie przyjemność.

Gdy zyskała pewność, że odczytywał jej grę, a mimo to zaczął zadawać niewygodne pytania, klęknęła przy jego fotelu i zaczęła masować miejsce, które znalazło się na wysokości jej wzroku. Początkowo się nie opierał. Nie wiedziała, że on też ją testuje.

Kiedy już myślała, że dopięła swego, szarpnął ją mocno za włosy i zmusił, by wstała. Jęknęła z bólu i zaskoczenia.

- Widzę, że terapia z tobą będzie bardziej wymagająca. Gdy przyjdiesz tu następnym razem nie próbuj swoich sztuczek. To nie ma prawa się nigdy więcej powtórzyć. Rozumiesz?

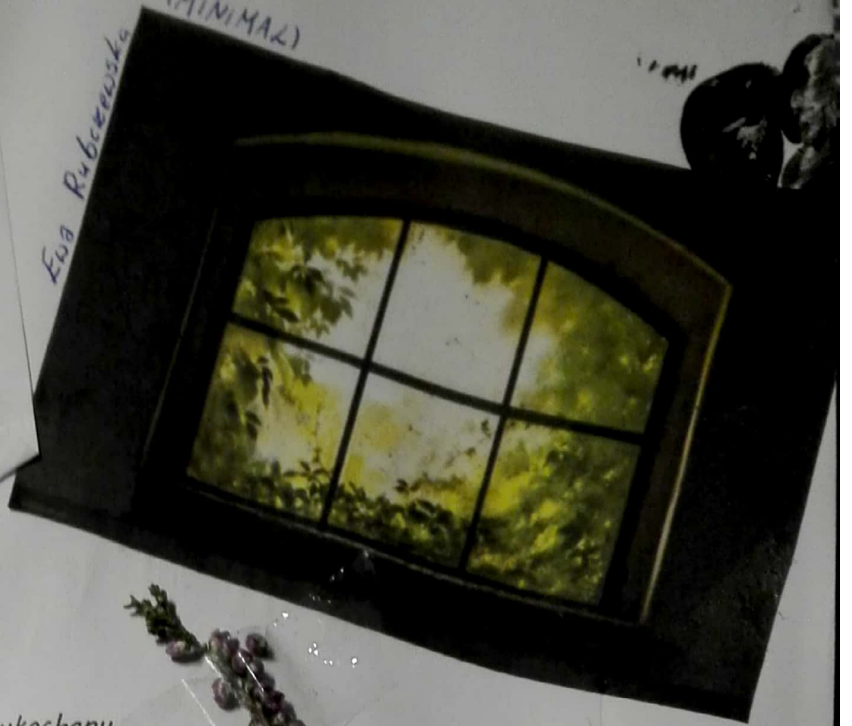
Stała jak sparaliżowana. To nie tak miało być. Pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Owszem, zdarzył się czasem frajer, który jej odmówił, ale nikt nie sprowadził ją na ziemię w taki sposób. Po chwili konsternacji, wybiegła z gabinetu, przeklinając terapeutę. Czuli jednak, że mimo tego wróci tam. Nie można wygrać z irracjonalną ciekawością.



Karolina Szymańska

Jestem Arabką  
Tych kilka sekund  
Gdy tonę w Twoich czarnych oczach  
Osnuwa nas dym  
On mnie zatrzyma  
Zatracam się w odcieniu karmelu  
Zapachu cynamonu  
Zataczam się  
Już jesteśmy w domu  
Kutner i aksamit  
Kiedyś czar mirry pryśnie  
Jak Twój uśmiech  
Do następnego razu  
Będę Arabką  
Tych kilka sekund

Ewa Rubczewska  
(MINIMAL)



### Piosenka dla D

Słowa: Bożena Chrostowska  
Muzyka: Darek Górkiewicz

Gdybyś zapytał mój ukochany  
jak minął mi dzisiejszy dzień,  
opowiedziałabym tobie szeptem  
jaki nocą wybudza mnie sen,  
ile ton waży me kruche ciało  
gdy z dobrych myśli ograbia je cień  
I że słów mam coraz mniej dla świata  
choć z całych sił chce wierzyć weń  
Zanuciłabym też cichutko  
One more cup of coffee for the road  
i wsunęłabym swe dłonie leciutko  
pod twój szary, wełniany golf  
Wybrałam się więc do wróżki po radę  
daleko hen, w ciemny las  
by z fusów po twej porannej kawie  
móc przepowiedzieć ten raz  
gdy zapytasz mnie mój kochany:  
Jak minął ci dzisiaj czas?

CGFC  
FC  
FC  
Ga  
FC  
aG  
FE  
aG  
Fa  
CG  
Fa  
CG  
Fa  
CG  
Fa

## METALEROS Z KARAIBÓW PODBIJAJĄ WACKEN

D: Powiedz mi Kacper, czego my słuchamy i dlaczego?

K: Jet Jaguar, a konkretnie ich debiutanckiej epki - „Zero Hour”. Zdecydowanie wspaniałe odkrycie. Zespół, który wygrał tegoroczny Festiwal Wacken, jeden z największych festiwali muzyki metalowej na świecie. A kilka dni później zagrali w VooDoo Clubie w Warszawie swój pierwszy koncert w Polsce. Razem z Kroachem i Lux Perpetua.

D: I dobrze było?

K: Dobrze to za mało powiedziane. Weszli, zagrali i cała widownia zaczęła szaleć, skakać i krzyczeć. W tym również ja i ty. Oni zmiotli cały klub. Dali takiego czadu, że oszaleliśmy. Było widać że wszyscy dobrze się bawiliśmy, zarówno przy autorskich utworach, jak i przy coverze „Painkillera” Judas Priest, który zagrali aż dwa razy! To była dla mnie taka szczególna niespodzianka. Takiego żywiołowego grania już dawno nie doświadczyłem. Pamiętasz, co tam się działo?

D: Pewnie. Wokalista wbiegł i od razu wrzasnął. Podał chóralny zaśpiew, mikrofon skierował w publiczność i zachęcał do śpiewania razem z nim. Gitarzyści szaleli. Kiedy nie grali, to zachęcali nas do okrzyków. Gdy grali ze sobą, prześcigali się solówkami. Wyobraziłem sobie, że tak mogły wyglądać koncerty Maidenów u progu ich kariery. Totalna zadyma w małej sali. Masz wrażenie, że jesteś wybrany. Pamiętasz bisy?

K: O, był bis. A potem jeszcze jeden. Ten koncert..., nikt go nie chciał skończyć. My wrzeszczeliśmy, oni wciąż dawali się uprosić, żeby jeszcze coś zagrać. Już o tym mówiłem, jako ostatni bis zagrali drugi raz Painkillera.

D: Jet Jaguar. Powstali w 2014 roku w Cancún, w Meksyku. Czy Cancún kojarzy Ci się w ogóle z muzyką metalową. To Karaiby.

K: Jeżeli ktoś słyszy heavy metal to mało kiedy myśli o Meksyku. Sam dużo eksploruję, to co współczesna polska scena metalowa ma do zaoferowania, ale bardzo ciekawe jest dowiedzenie się o istnieniu takiego typu muzyki w zupełnie innym zakątku świata. I to muzyki na najwyższym światowym poziomie.

D: Jesteś znawcą japońskiego metalu, więc wiesz, że ten gatunek muzyczny w innych częściach świata jest bardzo popularny. Ja interesuję się sceną meksykańską. I wiem, że ona działa dużo prężniej w porównaniu do Polskiej. Przynajmniej jeśli chodzi o wsparcie dla młodych zespołów.

K: Dobra, w VooDoo Clubie przed Jet Jaguar wystąpił zespół z Polski, The Kroach, który także grał na Wacken, konkurowali z Meksykanami. Niestety nasi nie wygrali. Jak zmierzyć wsparcie fanów dla zespołu? Czy znasz różnicę? Ja wiem tylko, że The Kroach nie wygrał.

D: Sprawdziłem najprostszym sposobem, na Facebooku. Żeby dostać się do Wacken, trzeba wygrać krajowy konkurs. Na festiwal w Niemczech zakwalifikowało się około 30 zespołów z całego świata. Tylko jeden band mógł wygrać. W tym roku wygrał Jet Jaguar. I teraz o wsparciu. Kapela z Polski, która tam jechała miała kilkanaście do kilkudziesięciu lajków pod swoimi postami, zero udostępnień. Meksykanie mieli lajków średnio kilkaset, a po Wacken mieli 16 tys. udostępnień, polubień prawie 2 tys., i to jest jedna z różnic między popularnością muzyki metalowej w Polsce i w Meksyku. Tam swoją kapelą ludzie cieszą się, dopingują ją, na fanpage'ach dają znać, że są.



KACPER  
KOZŁOWSKI



Seimon Rutkowski (MINIMAL)

K: Wszyscy kupują ich koszulki, płyty, inne gadzety i wspierają w każdy możliwy sposób. Wiesz, ja na ten koncert pojechałem w ciemno. Nie znałem muzyki zespołów występujących tego wieczoru w klubie. Znałem tylko Lux Perpetua. Ale Jet Jaguar nie znałem w ogóle. A teraz czuję się ich fanem. Nie było mnie na świecie w latach osiemdziesiątych, ale to jest to samo brzmienie. Do tego są wspaniałymi instrumentalistami. Ale oni nie kopiują. W tym wszystkim są oryginalni. Słyszę, że kochają te wszystkie stare zespoły, ale to jednak nowoczesna kapela. Naprawdę zasłużyli na wygraną. I jeszcze gdy śpiewają numery po hiszpańsku. Cholernie mnie to kręci... Nieźle pogowaliśmy.

D: Wydawało się, że to jest jakieś szaleństwo, pełno ludzi, dymy ze sceny puszczone w górę, pot się z nas leje, zespół gra na 100%, a pamiętasz co było jak się odwróciłeś do tyłu, żeby zobaczyć ile ludzi jest za Tobą?

K: Ilu w tłumie? Nie, tak jakoś nie zwracałem na to uwagi.

D: Jak już koncert miał się ku końcowi, odwróciłem się. I tam było ze 20 osób. Wtedy pomyślałem sobie, że w Olsztynie przyszedłoby więcej. Spytałem się później o to jednego chłopaka. Powiedział mi, że w Warszawie nie ma sceny metalowej.

K: Może zaczyna raczkować, bo mogę się mylić, ale Exlibris oraz Scream Maker pochodzą właśnie z Warszawy.

D: Nie. Nie mówimy o tym, że w Warszawie nie ma zespołów, tylko że ludzie nie są zainteresowani, nie wspierają, nie chodzą na koncerty. Ile kilometrów przejechałeś, żeby pojechać na koncert Jet Jaguar?

K: 220km, z Olsztyna do Warszawy. Ale wiesz, co jeszcze zauważyłem? Nieanglojęzyczny metal nie jest u nas popularny. W Polsce też mało kto śpiewa po polsku. I to też jest różnica. Np. w Japonii, gdzie jest bardzo dużo metalowych zespołów, spora część z nich ma teksty w języku japońskim. Ja wcześniej słyszałem Conspiracion Zero z Meksyku i oni też mają teksty w języku hiszpańskim. Mówiłeś, że nagrywają epkę? Też są z Cancun?

D: Nie. Oni są z Chetumalu. Ale to ten sam stan. Quintana Roo, Karaiby. Wydawałoby się, że tam króluje reggae i calypso, a tutaj proszę, niespodzianka. W kurortach, na plażach takie kawałki właśnie lecą. Ale..

K: Ale poza tym w klubach gra się metal. Naprawdę ostry dobry metal. I co najważniejsze, że ja na koncercie czułem szczerą bijącą z ich muzyki. I naprawdę wielką pasję. A grali jakby o życie walczyli. I kupiłem od nich płytę. I też jest świetna. Brzmienie mięsiste, surowe, a do tego czad i melodie. Dla mnie to po prostu szczerą muzyką.

D: I myślę, że dotknąłeś sedna. Dlaczego w Meksyku jest silna scena metalowa? Po prostu, chłopaki grają szczerze, z serca i mają coś do powiedzenia, a na scenie wyglądają jakby walczyli o życie. O kim porozmawiamy następnym razem?

K: Jeszcze nie wiem. Ale myślę, że zajmiemy się japońskim metalem.

Rozmawiali: **Kacper Kozłowski i Dariusz Górkiewicz**

Dariusz Górkiewicz

Powiedz to **głośno** (fragment powieści)

Pamiętam, jak byłem młody. Biegałem maratony i boksowałem jak wściekły. Dlaczego maratony, skoro chciałem zostać pięściarzem? To proste, one dawały wytrzymałość. Do tego, żeby biegać potrzeba było odwagi. Niektórych dzisiaj to dziwi. Teraz mnóstwo ludzi truchta po parku, mówią, że uprawiają jogging. Ale w latach siedemdziesiątych tak nie było. W parkach nie zajmowano się sportem tylko obalano alpagi. Wspaniałe czasy, gdy mogłeś pić, gdzie chciałeś.

Jak gnałem przez osiedle, to krzyczeli za mną złodziej. Wtedy jak ktoś biegał, to musiał być albo złodziejem, albo idiotą. Ludzie potrafili nie tylko krzyczeć, ale ruszyć za tobą, nabluzgać ci. Na moim osiedlu, gdzie mnie znali, wiedzieli, że jestem sportowcem, boksuję i nawet, gdy biegałem, to miałem spokój i szacunek. Byłem silny, więc mnie poważali. Ale gdzie indziej zdarzyło mi się przerwać trening i obić niejedną gębę.

W wieku piętnastu lat do klubu bokserskiego z prawdziwego zdarzenia zapisała mnie matka. Szybko się uczyłem i stawałem się coraz lepszym pięściarzem. Dwa lata później coś się stało. Matka odeszła od ojca. Wyjechała do Niemiec na stałe, a ja zostałem ze starszym. Chciałem jechać z nią, ale usłyszałem, że to niemożliwe. Zaraz po wyjeździe przestała się do mnie odzywać i okazało się, że miała tam nową rodzinę. Szykowała się na tę ucieczkę od roku. Zerwała kontakt. Nie dziwiłem się, że nie chciała znać ojca, jednak nie rozumiałem, dlaczego nie chciała znać mnie.

Mieszkałem z ojcem, chodziłem do zawodówki, ale miałem słabe oceny. Nie zależało mi na szkole, interesowały mnie tylko treningi. Na sali wyładowywałem całą swoją złość na matkę, że mnie nie chciała. Tłukąc pięściami pozbywałem się agresji wobec ojca, że bił i pił, a ja chociaż coraz silniejszy, wciąż bałem się mu oddać. Wyżywałem się w klubie, byłem jak dynamit i tak mnie nazywali. Szedłem jak burza na przeciwnika, wystawiałem się na ciosy, byle podejść i uderzyć, a jak trafiłem, to miażdżyłem. Moją największą zaletą było to, że się nie bałem i wiedziałem, kiedy uderzyć. Rozwijałem się. Wydawało się, że wszystko przede mną.

Naparzałem jak wściekły. Jeśli ktoś kładł mnie na deski, to pracowałem, ćwiczyłem, obserwowałem i wychodziłem na ring ponownie. Gdy nokoutował mnie drugi raz, pracowałem jeszcze więcej. Nikt nie położył mnie po raz trzeci. Od najsilniejszych dostawałem najwyżej dwa razy, później to ja zwyciężałem. Stałem się najmocniejszy w klubie. Tak mówili, ale ja też zdawałem sobie z tego sprawę.

Pierwszy wyrok odsiedziałem za pobicie ojca. Kiedy wreszcie zdecydowałem się uderzyć, skatowałem go. Nie musiałem iść do więzienia, wszystko leżało w jego rękach. Przynależała poprawa. To jedyny raz, gdy przeprosiłem podczas rozprawy sądowej. Naprawdę rozumiałem, że źle zrobiłem. Czulem wstyd, że muszę się tłumaczyć przed tyloma obcymi osobami. Wiedziałem, że dostanę kuratora, ale pozwolą mi zostać w domu. A raczej przez chwilę miałem taką nadzieję. Pomyliłem się. Ojciec, który całe życie tłukł mnie, powiedział, że się mnie boi, że znęcam się nad nim, że uczę się boksować, jestem niebezpieczny, takie tam. Nie było mowy o kuratorze, poszedłem siedzieć. W więzieniu przeszedłem szkołę złodziejstwa i nawiązałem kontakty. Silny, inteligentny, zdecydowany na wszystko, ogarnięty wściekłością i chęcią zemsty stawałem się naprawdę niebezpieczny. Szybko zdobyłem odpowiednich przyjaciół, którzy mnie wyedukowali.

Kontakty za murem owocują tym, że jak siedzisz, a masz wrogów na wolności, to możesz ich dosięgnąć. Pół roku po zatrzasknięciu się za mną bramy więzienia, ojciec został kaleką. Co prawda był już trochę przetrącony przeze mnie, ale tamci urządzili go na amen. Nigdy później nie chodził już o własnych siłach. Zrobili to koleśki moich ziomali spod celi. Doszedłem do wniosku, że to moja nowa rodzina.

Gdy wyszedłem koledzy pomogli mi zarobić pieniądze, nagrali robotę. Nocowałem wtedy na melinach. Wyświadczylem komuś przysługę, taką jak mnie wyświadczono - pobitem kapusia wyczynach dotarły do trenera. Zawiesił mnie na miesiąc, a później na pół roku. Zaliczałem kolejne odsiadki. Wychodziłem na wolność i wracałem do klubu, ale przez nieustanne libacje traciłem szybkość. Znałem jednak niedozwolone i skuteczne chwytły. Zwyciężałem za każdym razem, ale nikt nie uznawał tych zwycięstw, chociaż to ja stałem na nogach. W końcu przyszedł moment, że nie pozwolono mi już walczyć. Dostałem dożywotnią dyskwalifikację.

Po jednej z wygranych walk bokserskich ruszyłem z kumpłami w miasto. W pewnej knajpie, ktoś krzywo na mnie spojrział. Oberwał, a ja trafiłem do aresztu. Wieści o moich wyczynach dotarły do trenera. Zawiesił mnie na miesiąc, a później na pół roku. Zaliczałem kolejne odsiadki. Wychodziłem na wolność i wracałem do klubu, ale przez nieustanne libacje traciłem szybkość. Znałem jednak niedozwolone i skuteczne chwytły. Zwyciężałem za każdym razem, ale nikt nie uznawał tych zwycięstw, chociaż to ja stałem na nogach. W końcu przyszedł moment, że nie pozwolono mi już walczyć. Dostałem dożywotnią dyskwalifikację.

Wkrótce przekonałem się o pewnej zasadzie - gdy psy przycisną, to prawie każdy cię wśypie. Wiedziałem, że im więcej zrobię sam, tym będę bezpieczniejszy. Więzienie stało się moim domem. Ale nie miałem tam rodziny. Zrozumiałem, że mam tylko współników. Jak im się opłacało byli lojalni i to tyle. Zaprzyjaźniłem się z telewizorem, dbałem o sprawność fizyczną. Będąc groźnym utrzymywałem się na powierzchni.

Dziesięć lat po pobiciu ojca zobaczyłem go na ulicy. Siedział na wózku inwalidzkim, zebrał pod sklepem o drobne. Poznał mnie. Odwrócił się i odjechał. To był ostatni raz, gdy poczułem smutek, nie wiem co jeszcze, ale zapamiętałem tamten dzień. Wtedy skończyłem z uczuciami. Nikomu więcej nie zaufałem i od nikogo nic nie chciałem. Czasem przytuliła mnie jakaś babka, ale nic na stałe. Dziewczyny recydywistów nie były wierne. Nie chciałem takiej, o której wiedziałbym, że pod moją nieobecność przyjmuje kompanów spod celi, a później ściemnia, że czekała. Ja je nazywałem, że zawsze wracają, ale nigdy nie czekają, a potrafią wśypać. Wybrałem samotność. Wybrałem, że jestem twardzielem, wybrałem zawód złodzieja. Ostatnim z wyborów było to, że zdecydowałem, że nigdy nie zostanę bandytą. Może kogoś to zdziwi, ale między złodziejami istniały takie same podziały jak w zewnętrznym świecie, między frajerami. Znałem złodziei z zasadami, z pewnego rodzaju kodeksem honorowym. I poznałem też najgorszych skurwieli, całych wypełnionych obłędem zniszczenia. Byli złem i zło czynili, nie wahali się przed niczym.

Ja postanowiłem być człowiekiem. Bez względu, co myślałeś o mnie, nie byłem bandytą. Stałem się twardzielem i żyłem w dżungli, ale nie zostałem szumowiną. To życie to mój wybór.

Leżąc na łóżku, tej nocy, patrzyłem w sufit i zadałem sobie to cholerne pytanie: kto odebrał mi szansę abym spełnił swoje marzenie i został zawodowym bokserem?

Wziąłem tabletkę nasenną. I pierwszy raz od dłuższego czasu pomodliłem się, aby zadziałała, bo snu potrzebowałem, tak jak on.



Michalina Januszek

**o pesymiście który wyładniał**

Zacząłem ostatnio płukać usta olejem kokosowym. To się nazywa w internetach ssanie oleju. Że nie myjesz Pan zębów pastą z fluorem, co ci zabija szyszynkę i niezależność poglądów, tylko szczotkujesz normalnie. Masujesz Pan dziąsła, a potem 15 minut płuczysz na spokojnie nawet oliwką, chociaż gorzka podobno.

Kokosowy najlepszy i cera się poprawia. Tylko czy to nie ma pestycydów rakotwórczych na przykład, co przez ślinianki bezpośrednio mutują? I może plus elektryczny fajek to rak całej jamy ustnej. No nie wiem, podobno oczyszcza, bo 80% krwi przez usta dziennie przepływa. Sporo, nie? No dobrze, proszę wypluć. Ostatni kanał zrobiony. 1500, zł całość.

**o koniu który czytał**

Ostatnio marzę o tym, żeby mnie przeleciała Kleopatra. Ale tak naprawdę. Że jestem ostrym typem w stylu klasycznym, a ona bardzo tego chce, błaga mnie przez posłańców i się wręcz poniża. Bardzo dzięki generalnie, pies, że wyrwałeś tę książkę z ich biblioteczeki. Bo nudzi mi się już te dzieciaki po lesie wozić, po jesieni. Czytałem dziś topię się w refleksjach, piszę jak Puszkina\* I tak mi tklawie, że tylko Kleopatra w ustach, a nie uzda w pysk i znów nudny kłus. Wiesz, piszę teraz kawałek pod tytułem 'Me wargi twarde tęsknią', takie wprawki ciemne, ale prawdziwe są z serca.

\*Pe7et



MINIMAL  
Kruszkiot Gange

# WSPOMNIENIE MAŁGORZĄTY

(...).

## FRAGMENT POWIEŚCI

Wtem wstaje z zamkniętego sedesu, na którym właśnie siedziała, kocim ruchem wskakuje na wysoki parapet naszego okna na świat. A ono skrzypi, opornie poddając się jej woli, odradzając otwarcie, przeczuwając, co zaraz nastąpi.

Małgorzata na parapecie po zewnętrznej stronie okna, trzyma się tylko jedną ręką framugi.

Może to zrobić, jest do tego zdolna. Ojciec przekazał jej w genach potrzebną do tego odwagę.

- To nie jest żadne rozwiązanie - powiedziałam spokojnie, choć wszystko we mnie krzyczało i chciałam się rzucić na pomoc.

- Jaki piękny dzisiaj poranek. Drzewa pachną jabłkowo, czy rosną tu idaredy? Żółte, brązowe liście spadają na ziemię, tworzą wilgotną jesienną zgniliznę, miękki kobierzec upadłych liści wtula się w pulchną ziemię, ona mnie pociąga, woła mnie, otwiera się przede mną - mówi zasłuchana w coś.

Nie wiem, co zrobić. Pochwycić ją za nogi? Wejść za nią na parapet? Jej determinacja mogłaby pociągnąć mnie ze sobą. Nie chcę tego. Dostałam życie i to nas różni.

Przybliłam się do mojej szesnastoletniej przyjaciółki, wypełniającej otchłań otwartego na oścież okna.

- Nie mogę się cieszyć życiem, wiesz? Nie czuję już radości... On mnie zniszczył. Udało mu się. Pokonał wroga, zdeptał go i napłuł na niego - krzyczy Małgorzata.

- Będzie na pewno żałował, jak nie dziś, to za parę lat, pewnie już tego żałuje, tylko nie umie się przyznać, jak to facet, daj spokój, zejź z tego okna, boję się, że ci się coś stanie - zapewniam, myśląc tylko o tym, aby mi wreszcie podała tę cholerną dłoń i zesłała z okna.

- Boisz się? - pyta i zaczyna nerwowo się śmiać. - Nie bój się! Pamiętasz, co sobie obiecałyśmy? Że nie będziemy się już bać - Małgorzata spogląda na mnie z góry, jak z piedestału. Jest wysoko nade mną. Boi się, czuje jej strach. Jesteśmy przyjaciółkami, znam ją, wiem, co czuje.

Jeśli teraz skoczy, to jej rodzice mnie oskarżą.

A co będzie ze szkołą, z nauczycielami? Ogarnia mnie panika, przed chwilą stałam, jakbym była bezduszną pacynką, ale teraz coś się we mnie przetłumuje. Nie mogę do tego dopuścić!

Małgorzata ma żyć, ma ukończyć akademię sztuk pięknych, o której od zawsze marzy, ma się przeciwstawić woli ojca! Ale nie tak!

Wskakuję nagłym, zdecydowanym ruchem na zamkniętą muszlę klozetową, prawą ręką chwytam się górnej części drzwi od toalety, a lewą pociągam Małgorzatę ku sobie, całą siłą mojego niewysportowanego ciała. Zaskoczona nagłą próbą ratunku traci równowagę i spada na muszlę klozetową.

Przebiegam przez nią niezdarnie, w pośpiechu głaszcząc jej rozwiane, kręcone włosy. Czuję, jak serce wali mi w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać, zatraskując szczerlnie okno bezwiednie wdycham zapach idaredów, o których mówiła.

Odpycha mnie i odchodzi. Zostaję na długim, szarym korytarzu. Patrzę na jej malejącą w oddali sylwetkę. Łzy na moich ustach smakują słono.

Katarzyna Wenta-Mielcarek



Ola Kwieciska

Gdzie się podziała ta niezależna nastolatka, którą kiedyś byłam? Zgubiła się gdzieś po drodze? Kim się stałam? Pilną studentką, potem matką dwójki wspaniałych dzieciaków, czy może stabeuszką, emigrantką, szoferką swojego szefa, tchórzem, kryjącym finansowe machloje szefa? Kurą, łamagą, dalej wylizacz? Biedna sierotka, maskotka, idiotka, tata zginął, mama w Kopenhadze, cóż ja na to poradzę? - jak pisał poeta. Głęboki oddech. Jakie mam wyjście? Mój mózg zablokował się i wszystkie szare komórki zastygły. Nie wymyślę teraz już nic. Ruszam.

Jak za czasów licealnych, gdy chowałyśmy się Małgorzatą w obszernej toalecie, będącej dla nas swego rodzaju schronieniem, ale i oknem na świat, przez które przenikał zapach miasta - obietnica przygody, nęcąca brakiem kajdan.

Z drugiej strony, za drzwiami zamykającymi nas od wewnątrz, wśród zamieszania dziewczynskich charakterów, oczekiwały nas ambicje naszych rodziców, którym nie chciałyśmy sprostać, bo miałyśmy swoją zbuntowaną koncepcję na siebie i swoje życiorysy. Chowając się w tym specyficznym miejscu przed obietnicą korporacyjnego bytu, marzyłyśmy o wolności i przygodzie.

- Nigdy nie zgodzę się na nudną egzystencję, polegającą na pogoni za kasą - przekonywała Małgorzata, zaciągając się papierosem.

Ale, żeby czuć wolność, potrzeba przecież trochę kasy - myślałam o moich starych, którzy nie mieli pod koniec miesiąca kasy na żarcie dla mnie i młodszej siostry.

Małgorzata utyskiwała często, żaląc się, że jej rodzice są razem na zasadzie wspólnoty interesów. Mama jeździła na saksy do Berlina, więc dziewczyna dojrzywała praktycznie bez niej. Ojciec „wychowywał” nastolatkę przy użyciu przemocy. Pytała mnie wówczas, czy wiem, jaki ma z nimi horror. Pewnie, że wiedziałam, bo pamiętam, jak odwiedziłam ją w domu dokładnie tydzień wcześniej.

Błada jak trup, zawsze była blada, ale tym razem prawie przezroczysta, w golfiku koloru ciemnozielonego, nie mogła oddychać, jakby dusił ją ten golf, krztusiła się za każdym razem, gdy chciała zbudować zdanie. Nie wpuściła mnie do swojego pokoju...

Przerażenie w jej sarnich, bezbronnych oczach. Ojciec Małgorzaty stwierdził, że jest kłamczuchą. Pobił ją tak, jak to potrafią robić wojskowi. Małgorzata opisała to jako skakanie po klatce piersiowej. Doznała okrutnego upokorzenia, a ja nie umiałam jej pomóc.



# Wyjście z czyścca

Przez 32 lata moja dorosłość majaczyła gdzieś na horyzoncie i wraz z nim przesuwiała się proporcjonalnie do mojego procesu starzenia się. Dzieci zawsze miały być za dwa lata, ja nadal słuchałam WuTangu i wciąż nie używałam suszarki do włosów. Jednocześnie wykonywałam poważny zawód zaufania publicznego, ceniałam sobie dobrze wyważone szpilki i wysokiej jakości marynarki.

Ale od razu kobieta?

To zwiastowało kłopoty: ogromne piersi, długie paznokcie i zawsze ogolone tydki.

Woskowa depilacja okolic bikini!

Geez...

Kobieta, to była Conchita Wurst, a ja pogodziłam się z tym, że piękną kobietą nie będę.

Ale chwileczkę, chwileczkę.

Ona ma brodę!

Okej...

Genialne! Wzorzec płci żeńskiej i imperatyw kobiecej codzienności jako przebranie i sceniczne alter ego mężczyzny. To sacrum mężczyzny ma być profanum kobiety. Mówi o tym też Madonna w swojej przemowie na gali Billboard Women in Music, nawiązując do wizerunku Prince'a. Wysokie obcasy czy sztuczne rzęsy mężczyźni służą jako rekwizyty ekspresji artystycznej. Kobietom narzuca się je jako wyznaczniki przynależności płciowej.

To uświadomiło mi, że wcale nie o kobiecość tu chodzi.

To, do czego nigdy nie chciałam dorosnąć było wizerunkiem kobiety idealnej - kobietoida.

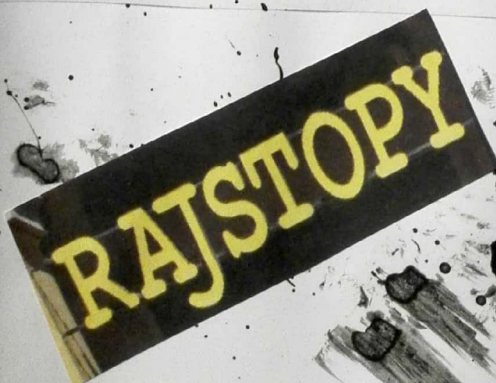
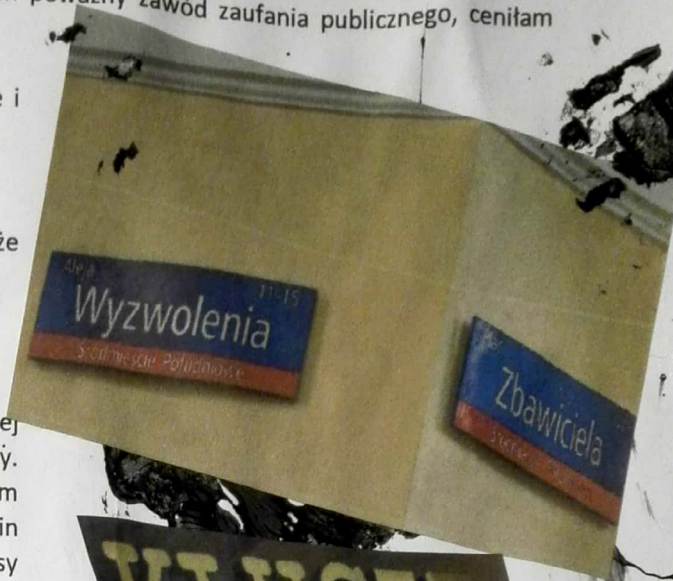
W procesie odczłowieczania mężczyzn i kobiet na potrzeby rynku dopuściliśmy do dewaluacji tych archetypów. Archetyp kobiecości oddaliśmy głównemu nurtowi przemysłu medialnego, a on utylił go w oślizgłej brei okołopornograficznej i okrasił tłustym hajsem. W zachodnim świecie konsumpcjonizmu pojęcia kobiecość i kobieta zostały zawłaszczone w służbie sprzedaży i za sprawą nierealnych standardów tak zwanego piękna stały się wielkim wyrzutem sumienia. Czy można się dziwić, że młode kobiety często nie identyfikują się z innymi kobietami i nie tworzą kobiecej wspólnoty? Nie chcąc spełniać wyśrubowanych czy wręcz nierealistycznych wymogów wolą pozostać w postadolescentnym czyścicu i nie przekraczać progu kobiecości. Brak poczucia wspólnoty wywołuje iluzję, że kwestie feministyczne ich nie dotyczą - przecież nie mają dzieci ani nie marzą o przebiciu szklanego sufitu w korpo. W tym wiecznym okresie przejściowym kobiecość to stan tak odległy, jak inna galaktyka.

Jeśli jednak odsuniemy kobietoida tam, gdzie jego miejsce, czyli na scenę burleski i w bezpieczną przestrzeń cudzysłowu, zrozumiemy, że jest on jedną z ról. Możemy w nią wchodzić, lecz równie dobrze możemy sprzeciwić się temu, aby stała się ona trudnym do spełnienia imperatywem. Nie musimy być nikim, a naprawdę dobre jesteśmy w byciu po prostu sobą.

Nasze piękno manifestuje się w naszej różnorodności i w wieloznaczności, a także w samostanowieniu o naszych ciałach i umysłach.

Wykonując zawód zaufania publicznego nadal mogę używać słowa hajs i nie muszę zapominać o Method Manie, tylko dlatego, że już rozumiem Miles'a.

Prawo do bycia tylko i aż sobą - według mnie to postulat feministyczny, pod którym możemy podpisać się wszystkie, także te wśród nas, które feministkami siebie nie nazywają.



Olga Żmijewska  
tekst  
fotografias



# Zbuntowany jak Wojaczek

- Należę do pierwszego pokolenia, które zaczęło odczuwać na własnej skórze absurdalność sytuacji życiowej i społecznej, w jakiej się znalazło – mówi Włodzimierz Kowalewski, olsztyński prozaik. - Rzeczywistość, w której wzrastałem, była jakimś koszmarnym pomieszaniem groteski z horrorem.

**- Pamięta pan swój debiut? Można porównać tę sytuację do tej, w której znajdują się obecni debiutanci?**

- Myślę, że nie można jej porównać. Przypomnę, że debiutowałem jako poeta a nie prozaik. Wspomnienia z tego wydarzenia mam przykre, bo byłem poetą bez talentu, który wtedy nie miał pojęcia, co to w ogóle jest poezja, czym ona jest i jak funkcjonuje. Nie wiedziałem również jaką rzeczywistość poezja otwiera.

Debiutowałem w miesięczniku „Warmia i Mazury”, którego zresztą nikt nie czytał, choć trzeba przyznać, że w tamtych czasach druk w czasopiśmie społeczno-literackim był czymś niezwykle nobilitującym.

Przez przypadek do jednej z osób redagujących magazyn trafiło kilka moich wierszy. Dwa z nich zostały opublikowane. Wydaje mi się, że były mało wartościowe, ale wówczas odczułem dumę. W czasach mojej młodości publikowanie swojej twórczości było bardzo trudne. Obecnie kwestia publikacji jest łatwiejsza, np. w Internecie. Trzeba jednak dodać, że wartość dzisiejszych publikacji bardzo się obniżyła. Z drugiej strony oddźwięk bywa szerszy, a i potencjalnie liczba czytelników jest większa.

**- Wcześniej opuścił pan Olsztyn i tak na dobre swoją karierę literacką rozpoczął pan w Toruniu.**

- To prawda. Trafiłem tam na studia, na polonistykę, więc już chociażby z tego powodu znalazłem się w środowisku, które zajmowało się literaturą. Poetów, takich jak ja, było tam przynajmniej kilkunastu. Do tego funkcjonowaliśmy w klubach literackich, wydawaliśmy gazetki, spotykaliśmy się na wieczorach autorskich. Założyliśmy również własną grupę poetycką „Zamek Nieszawski”. Incydentalnie drukowaliśmy swoją twórczość w prasie.

**- Na pierwszą swoją książkę czekał pan do lat 80.**

- W 1981 roku w trakcie studiów w Toruniu wydałem tomik poetycki „Idę do ciebie spod sklepionego łuku bramy”, co udało się dzięki Toruńskiemu Towarzystwu Kultury. Ktoś w tej organizacji wpadł na pomysł, żeby stworzyć serię wydawniczą dla debiutantów.

W tym samym roku, w klubie studenckim „Odnowa”, wydałem modny wówczas arkusz poetycki.

Zresztą sama „Odnowa” była ciekawym miejscem, w którym toczyło się bardzo ciekawe życie rockowe. Klub był jednym z ognisk muzyki alternatywnej w Polsce na przełomie lat 70. i 80. ze szczególnym uwzględnieniem sceny punkowej.

Mogę się pochwalić, ale właśnie w „Odnowie”, jako jeden z nielicznych, widziałem występ na żywo pierwszej legendarnej polskiej grupy punkowej, zespołu nieżyjącego już Walka Dzedzeja.

Toruń, jeśli chodzi o to życie rockowe i kulturę alternatywną związaną z muzyką, był zawsze bardzo mocny, żeby przypomnieć tylko Republikę z Grzegorzem Ciechowskim, czy Kobranockę.

**- Dobrze miejsce, żeby zostać poetą zbuntowanym.**

- I byłem zbuntowany, bo każdy młody człowiek nim jest. Urodziłem się w latach 50., więc należę do pierwszego pokolenia, które zaczęło odczuwać na własnej skórze absurdalność sytuacji życiowej i społecznej, w jakiej się znalazło. Rzeczywistość, w której wzrastałem, była jakimś koszmarnym pomieszaniem groteski z horrorem. Wojsko było instytucją, przed którą należało się chronić, a szkoła wraz z nauczycielami, poza nielicznymi wyjątkami, przypominała jeszcze gorszą instytucję niż tę, którą znamy z „Ferdydurke”.

Kiedy w liceum razem z kolegami brałem do ręki gazetę i zestawiałem w wiedzę, którą mieliśmy w podręcznikach, to od razu cisnęło się na usta pytanie: jak było naprawdę? Jaka jest doza kłamstwa, która została przedstawiona w tym tekście?

W takiej atmosferze dotarł do mnie zwitek przepisanych przez kogoś wierszy Rafała Wojaczka, chyba ostatniego tak popularnego poety. Jeżeli szło się do biblioteki i wypożyczało rocznik miesięcznika „Odra”, w którym miały być wiersze Wojaczka, to były one zwykle powycinane nożyczkami przez czytelników. Tomiki, wydane za jego życia, a znajdujące się w bibliotekach, były rozkradane.

Kiedy przeczytałem jego wiersze, to poczułem rażenie pioruna. Byłem zaskoczony, że tak można pisać i wyrażać to, co leży na sercu i na wątrobie ludziom takim, jak ja. No i zacząłem Wojaczka naśladować, zarówno jeśli chodzi o pisanie, jak i sposób życia. Moje pierwsze płody literackie to było prawdziwe epigoństwo tego, co nazywał ten poeta.

- Droga, którą kroczył Wojacek, zakończyła się jego samobójstwem.

- Dlatego na studiach stwierdziłem, że nie można tak żyć, bo żyjąc w ten sposób, idąc tym samym tokiem myślenia dąży się do samobójstwa.

Oprócz tego, że byłem pesymistą, to byłem również realistą. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nic nie zmieni sytuacji narodu, ludzi, pokoleń. Czulem, że wszystko jest ustabilizowane i opiera się na przeciwieństwach tak potężnych sił, że naprawdę nic nie jest w stanie rozwalić ZSRR. Wobec takiego stanu rzeczy jako poeta, zacząłem kontestować rzeczywistość. Zainteresowałem się symbolizmem epoki Młodej Polski, twórczością poetów, którzy szczególnie eksponowali poetycki, impresjonistyczny dar w języku. I w takim kierunku szła moja twórczość i na tym polegał mój bunt. To był bunt bierny, polegający na odcinaniu się od wszystkiego. Bunt będący jakąś formą desperacji.

- Pomówmy chwilę o procesie tworzenia. Co jest w nim najważniejsze?

- Wydaje mi się, że skupienie. Niektórzy pisarze wyjeżdżają, zamykają się w domku na wsi. Ja takich możliwości nie mam.

- A co przeszkadza?

Mam nadwrażliwość słuchowo-językową. Do rozpaczy doprowadzają mnie we własnym tekście powtarzające się spójniki oraz wyrazy, np. który. Problemem są dwa wyrazy znajdujące się obok siebie, które się rymują. Nie można w żaden sposób tego skorygować, bo utracimy sens przekazu.

Zwykle jest tak, że osoba postronna, która to czyta, nie dostrzega tych błędów. Jedynie nas, autorów, może to doprowadzić do szewskiej pasji.

- O jakiej porze dnia pan pisze?

- Zazwyczaj w ciągu dnia, począwszy od samego rana. Nie mam jednak swojego unormowanego rytmu pisarskiego. Nie jestem w stanie pisać nocą.

Bywa też w moim przypadku, że pisanie jest rodzajem trans. Wówczas, gdy mam zamówienie, konkretny termin do zrealizowania, to nic nie robię tylko piszę. W transie potrafię pisać kilka dni z przerwami na posiłek.

- A jaka jest idealna sytuacja dla pisarza?

- Nie ukrywam, że ważny jest aspekt komercyjny: honoraria, zarabianie. To stanowi wartość pisania. Dowartościowuje i zabezpiecza finansowo.

W latach 90. była trudność z finansowaniem dzieł literackich. Poza nielicznymi, jak Joanna Chmielewska i autorami poczytnych kryminałów.

Obecnie sytuacja kształtuje się znacznie lepiej. Autor otrzymuje wynagrodzenie w postaci zaliczek, honoraria za wieczory autorskie, tantiemy.

- Myśli Pan o napisaniu kolejnej powieści?

- Noszę się z zamiarem opisanie realności. Jednak jest to trudne zadanie, aby stworzyć obraz otaczającej nas rzeczywistości. Od tego konkretnie są dziennikarze i reportażyści.

**Włodzimierz Kowalewski (1956)** - olsztyński prozaik, krytyk literacki i felietonista radiowy. Jest autorem dwóch tomików poetyckich, kilku zbiorów opowiadań i powieści, spośród których najbardziej znane to Powrót do Breitenheide, Bóg zapłać!, Światło i Lęk. Opowiadania starej daty. Autor trzykrotnie (1998, 2001, 2004) był nominowany do literackiej nagrody Nike i raz do Paszportów Polityki. W 2008 został uhonorowany Literacką Nagrodą Warmii i Mazur za powieść Excentrycy, która w 2015 roku została zekranizowana przez Janusza Majewskiego.

## Pierwszy haker

- Noe?
- No?
- Idziesz? Obiad stygnie.
- Zaraz, zaraz. Muszę jeszcze tylko... Cholera. Ech...
- Co znowu?
- Mam problem z dinozaurami. Za dużo ważą, nie potrafię tego skompresować.

- Zostaw to i chodź na obiad. Masz jeszcze czas. Chodź, zupę zjesz, to ci pomoże. Dobra, pomidorowa. Chodź, bo wystygnie.

Noe zdjął okulary i przetarł oczy. Pracował od tygodni, a przecież tyle było jeszcze do zrobienia! Żona mówiła mu: „Noe, twoje imię znaczy odpoczynek i pocieszenie, ale odkąd dostałeś to zlecenie od pana B., w ogóle nie odpoczywasz, a ja nie znajduję w tobie radości. Co z tobą?”

Sam zadawał sobie to pytanie. Czuł dziwne wibracje i jak coś pcha go do działania. Mógł nie jeść, nie spać, nie potrzebował seksu, rozmowy czy innych rozrywek. Nawet wino przestało go interesować.

Pan B. rzekł mu, że to nie będzie łatwa robota. I faktycznie, samo zebranie kodów wszystkich gatunków zajęło ponad tydzień. Z odmianami ludzkimi nie było problemu, ich szyfr został odkryty już dawno temu i był ogólnie dostępny, ale takie gatunki jak jeleń, morświn czy jaskółka były naprawdę słabo opracowane albo dane zaginęły. Musiał łamać kod na nowo, nie chciał niczego pominąć. Waila martwiła się, bo cały boży dzień siedział przed ekranem maszyny, którą dostarczył postaniec. Noego nie zrażały nawet błędy systemu i to, że czasami musiał się cofać i powtarzać obliczenia. Był pełen pasji.

Zupa była dobra. Noe patrzył z wdzięcznością na Wailę. Gdyby nie ona, całkiem przepadłby i oszał.

Pan B. zjawił się któregoś dnia osobiście, żeby przedyskutować szczegóły. Z początku Noe nie zauważył go, był pogrążony w pracy. Pan B. długo mu się przyglądał aż wreszcie powiedział:

- Wiesz, Noe, ludzie to kurwy. Kiedy szedłem do ciebie... ta ulica, tu jest od cholery śmieci. Taki brud. Puszki, jedzenie, fekalia. Wszędzie pełno much. Doprawdy nędzny z was naród. Oczywiście oprócz ciebie, Noe. Ciebie bardzo lubię, bo w przeciwieństwie do nich z tobą można się dogadać. Czasami zdajesz się mnie rozumieć.

- Staram się.
- Masz jakieś pytania?
- Nie, panie B. Nie mam.
- Nie masz? Dlaczego?

- Nie potrzebuję pytać, żeby dobrze dla pana pracować. Wierzę, że ma pan w tym swój interes.

- Ale czy nie chciałbyś stać się większą częścią mojego projektu?

- Oczywiście. Jeśli jest więcej do zrobienia, to chętnie się tym zajmę. Wiem, że jest pan hojny i wynagradza sprawiedliwie.

- To dlaczego nie prosisz o kolejne zadania?

- Nie chcę się narzucać. Jeśli uzna pan, że dobrze pracuję, może sam zleci mi coś jeszcze. Chętnie sobie dorobię. Żona...

- Może coś się jeszcze znajdzie, zobaczymy. Na razie skup się na tym zadaniu.

- Tak, tak. Proszę spojrzeć. Przy okazji oznaczam wszystkie gatunki tagami i grupuję. To ułatwi utrzymać porządek w bazie. To będzie piękna kolekcja. Cieszę się, że

mogę pomóc.

- Tak, chcę uporządkować swoje zbiory. Za dużo rzeczy mi teraz umyka. A ja lubię mieć wszystko pod kontrolą.

- Oczywiście. To zdrowe dla każdego układu.

- Wiesz co, Noe? Tym razem ci nie zaptacę.

- Ale jak to, panie B.? Jeśli czymś obrażem...

- Zafunduję ci wycieczkę.

- Wycieczkę? Ale żona...

- Wam obojgu. Przyznaj, przyda się trochę odpocząć, co? Załatwię wam podróż w jakieś spokojne miejsce. Odpoczniecie.

- Rzeczywiście może by się przydało.

- No widzisz. Jak się sprężysz z robotą, to dorzucę jakieś kieszonkowe. Serwus, tymczasem!

Waila patrzyła na męża z coraz większym niesmakiem. Przestał być w ogóle przydatny, nie chodził nawet po zakupy. Z nudów zaczęła pijać kawę z rudym sąsiadem. Od kubka do kubka ich języki oblażyły się i splątały, a kiedy po tygodniu zaobserwowała, że Noe nic nie zauważył, wyprowadziła się.

- Waila? Może bym zjadł...

Kiedy nie odpowiadała, po jakimś czasie wstał od maszyny i opuścił warsztat. Przy każdym kroku strzykało mu w kościach. Rozmasował ramiona i wyprężył plecy.

- Boże, przydałoby się trochę gimnastyki. Całkiem zeszytnieję przez tę robotę. Waila? Co z tym obiadem? Pomidorowa zdaje się, coś mówiłaś niedawno. Zjadłbym, zgłodniałem już. Waila?!

Poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Powąchał coś, chyba ser, zdecydowanie zgniły.

- Pewnie poszła do sklepu.

Wrócił do pracy, ale żona nie pojawiła się ani tego, ani następnego dnia. Dopiero trzeciego wpadła po rzeczy.

- Boże! Noe, co z tobą?

- Co?

- No jak ty wyglądasz!? Jak wariat.

- O co ci chodzi? Waila! Waila, Waila! Czekaj, coś ci powiem, zobacz! Zobacz, Waila, skończyłem. Ha! Ha ha! Gotowe, możemy jechać. Chciałaś odpocząć, Waila, to zobacz, masz, skończyłem i możemy jechać odpoczywać. Pakuj się, złota. Muszę jeszcze tylko przejrzeć to, muszę jeszcze tylko... I potem już zadzwonię do pana B., telefon zrobię, żeby podstawił nam samolot. O! On już z pewnością coś dobrego nam przygotował. Ha! Spodziewałaś się? Nie, pewnie, że nie, niespodziankę zrobić chciałem, pan B. mówił, że będziesz się cieszyć i opowiedział mi wszystko, to gdzie będziemy. Pojedziemy w góry, piękne miejsce mówił, pokazał mi, jak tam jest. Ja wiem, że ludzie to kurwy, ale on wybrał mnie do tej roboty, bo jestem szczególnie, bo nas lubi, chce, żebyśmy dalej dla niego pracowali i pomagali mu, i nawet wysłał nas na odpoczynek. Taki pracodawca to skarb, Waila. Nie możemy go niczym obrazić, Waila! Nie będę brał już innych zleceń niż jego. Przygotował dla nas wyjazd, polecimy tam i na tej górze odpoczniemy. Naładujemy się. Zaczniemy od nowa i będzie już dobrze.

Piotr Binkowski

Teheran (I)

Przylatuję o 23.30. Ciepła noc. W kolejce do odprawy paszportowej elegancy mężczyźni ze Świata w malinowych koszulach i niebieskich marynarkach. Ogoleni z chirurgiczną precyzją. Pewnie agenci CIA. Przede mną równie podejrzani goście. To Mossad.

Przyjechałem tu pełen kalek i obrazków utrwalonych przez media. Nie jestem naiwny. Trudno będzie się ich pozbyć.

Rano zderzam się z miastem po raz pierwszy. Spaliny oplatają jak stryczek. Dwanaście milionów ludzi postanowiło dojechać do pracy i szkoły skuterami, samochodami, komunikacją miejską. Wydaje się, że Irańczycy chcą udowodnić, że mają ropę; że jedynym ograniczeniem jest tylko przestrzeń, którą i tak kawałek po kawałku wydzierają pieszym. Jeżdżą po chodnikach, sygnalizacja świetlna istnieje dla fasonu. Mam trudności z przejściem przez jezdnię. Czasem stoję i kilkadziesiąt sekund, czekając na odpowiedni moment, który nigdy nie nadchodzi. Chowam się wtedy za czadorami Iranek, jak w matczynej spódnicy i przemykam z nimi.

Na bazarze spotykam Madiego. Prowadzi z ojcem dwa sklepy z perskimi dywanami. Rodzinny biznes kwitnie od 30 lat. Otrzymuję gratis wykład na temat różnic między produkcją masową, a ręczną. Pod koniec wizyty Irańczyk pokazuje dywanik, który ktoś mozolnie plół kilkanaście godzin dziennie przez pół roku.

- No bo co ma robić na wsi? - pyta retorycznie Madi.

Przechadzamy się po bazarze. W łukowatych sklepieniach wstawione witryny. Wewnątrz sklepy jubilerskie. Blask złota rozsada oczy. Wnęki to dawne miejsca wypoczynku wielbładow. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu istniał tu karawanseraj.

Zegnamy się. Na odchodnym mężczyzna pyta mnie, czy podobają mi się Iranki. Mówię, że tak, choć patrzą na mnie wzrokiem zimnym jak kołymski wiatr. On rechocze i mówiąc o nich postanawia odświeżyć mi przymiotniki zachwytu - cute, awesome, pretty, beautiful. Nie wiem, który z nas jest bardziej podekscytowany.

Podczas popołudniowej przechadzki do byłej ambasady Stanów Zjednoczonych, w której przez 444 dni Irańczycy więzili amerykańskich dyplomatów, zauważam brak zwierząt w mieście. Może gdzieś prześlizgnęły się ze dwa koty. Pewnie wszystko pierzcho, marniejac w zgiełku i ulicznych wzywaniach. Brakuje nawet ptaków. Widziałem je tylko więzione w kłatkach u ulicznych sprzedawców.

Teheran (II)

W hostelu spotkałem Martę, Polkę. Podróżuje sama. Dziewczyna ma kłopot, bo jest weganą. Przetrawiała cały dzień na wodzie, garści pistacji i kawałku chleba z rzodkiewką. Utyskuje, że wokół tylko mięso. Od warszawianki dowiaduję się, że plastry, które widać na nosach Iranek (u mężczyzn też, ale rzadziej) to efekt operacji plastycznych i oznaka wyższego statusu. Dlatego czasem nosi się je bez przebytej operacji. Marta wyprowadza mnie z błędu - pełne usta Iranek to efekt spotkania ze specjalistą od poprawiania urody, a nie łaskawość natury.

Podczas spaceru przez przypadek trafiam do szkoły średniej. Wsadzam głowę w bramę i już jakiś woźny ciągnie mnie za przegub do budynku, jak notorycznego wagarowicza.

Natychmiast osadza mnie rój nastolatków. Przekrzykują się. Każdy chce sprawdzić swoje zdolności lingwistyczne, więc kilkunastu młokosów pyta mnie po kolei o to samo.

Prowadzą mnie do jakiejś salki. Wieść o Karolu z Lechistanu już obiegła wszystkie piętra z prędkością targowej plotki.

W pokoju siedzi szczupły facet ubrany jak Imam. Zaczyna się seria pytań, które tłumaczy piętnastoletni prymus: po co przyjechałeś do Iranu? Jak ci się podoba? Jesteś chrześcijaninem? I nagle z grubej rury: co sądzisz o Islamie? Co możesz powiedzieć o naszym liderze Chomeinim?

Rozpytanie robi się dynamiczne. Czarne jak węgiel oczy kilku zebranych osób przyglądają mi się badawczo. Nikt poza mną i prymusem nie mówi po angielsku, więc mam po chwili ochotę szepnąć do niego: ratuj mnie.

Nagle otwierają się drzwi i wszyscy, prócz duchownego, zrywają się z krzesel i foteli z widocznym na twarzach strachem.

- To dyrektor szkoły - podniósł przedstawia prymus.

Po mnie - myślę.

Przechodzimy do pokoju nauczycielskiego. Idę jak na szafot.

- Mister! Mister! - krzyczą uczniowie, próbując zwrócić moją uwagę. Dyrektor, torując nam drogę, odpędza się od nich jak od komarów.

W małym pomieszczeniu grono pedagogiczne. Pan od farsy, od fizyki, matematyki. Reszty nie spamiętałem, bo ogień pytań zaczął być kierowany w moją stronę.

Dyrektor chce sfilmować całe spotkanie. Zgadzam się zrezygnowany. Z obserwatora stałem się obserwowanym.

Przesłuchanie: opowiedz o historii Polski, o jej geografii, ile zarabiasz i czy masz żonę. Jak wygląda system edukacji? Ile jest godzin historii, ile matematyki, a ile fizyki? Mówię, że tej ostatniej chyba mało. Fizyki nie jest zadowolony. Szybko dodaje, co jest małym kłamstwem, że lubiłem fizykę. Rozchmurza się.

Wchodzą kolejni przedstawiciele aparatu przesłuchującego. Na stole pojawiają się ciastka i herbata. Słodzę. Dyrektor widzi, że nie mam tyżeczki. Mało nie zasztyletuje wzrokiem kobiety odpowiedzialnej za jej brak. Mam ochotę przyjść jej z odsieczą i pomieszać palcem.

Znów dyskusja o Islamie. Mówię, że nie bardzo podoba mi się ten radykalny, że w Iranie jest on ważny, ale nie wypalają innym wiary mieczem.

- Bo my jesteśmy szyici, a nie sunnici! - głos podnosi dyrektor i wszystko jest dla mnie jasne bez prymusowego tłumaczenia. - My nie wysadzamy się w powietrze. Opowiedz o tym znajomym w Polsce.

Esfahan (I)

Dругie miasto na trasie. Spokojne. Ledwie 1,5 mln ludzi. Można odetchnąć.

Moimi oczami i uszami jest Homa. Studentka historii teherańskiego uniwersytetu. Pasjonuje się dziejami średniowiecznej Europy. Ma dwie siostry i mamę. Tata już nie żyje.

Ruszamy w miasto. Po minucie przelęknę nerwowo ślinę. Patrzy na nas pół ulicy. Kobiety najpierw taksują wzrokiem moją przewodniczkę, potem obrzucają mnie bazyliżkowatym spojrzeniem. Ciężko się przystosować w tej bliskowschodniej rzeczywistości.

Homa za punkt honoru wzięła sobie pokazanie mi wszystkiego w mieście, więc po czterech godzinach płoną mi stopy. Gonimy jak konie na Słuzewcu. Czasem dziewczyna przystaje, bruzda skupienia przecina jej czoło i liczy na palcach atrakcje, które widzieliśmy i te, które nam zostały do odwiedzenia. Niekiedy zapomina się i mówi do mnie w farsy. Zauważam intonację wznoszącą. Melodyjną. Esfahaaaaan - śpiewa.

Szłajemy się w kierunku znanym tylko jej. Próbuje nakłonić dziewczynę do zwierzeń. Co sądzi o sytuacji kobiet w Iranie? O Europie? Jak wygląda jej dzień? Jak spędzają wolny czas mężczyźni? Czy często czyta Koran, czy incydentalnie? Ogląda nielegalnie europejskie kino? A co z alkoholem?

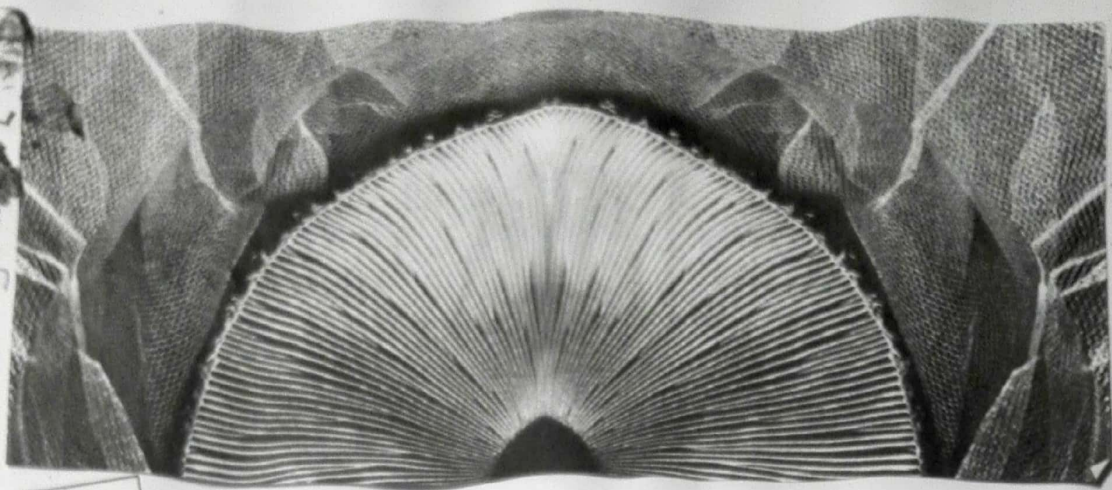
Jest ascetyczna w odpowiedziach, a niekiedy milczy. Wraca do pytań po kilkadziesiąt minutach, jakby zastanawiała się na poprawną odpowiedź. Dopiero po 2-3 godzinach sama zaczyna je zadawać. A może tyle czasu zajęło mi zdobycie jej zaufania? Interesuje ją los kobiet w Polsce, ich prawa. Muszę się również nagimnastykować opowiadając o wyglądzie rodaczek. Pyta, jak nam się żyje i czy jesteśmy zadowoleni.

Na placu jednego z meczetów rozmawiamy o religii. Wyjaśniam jakie są nastroje w Polsce. Muzułmanie nie mają u nas lekko. Jest wyraźnie zasmucona.

- Też nas nie lubisz?

- Gdybym nie lubił, to nie byłoby mnie tutaj.

(MIDIMAL)  
Tomasz Lany Rus



### Jazd (I)

Shiraz żegna mnie Robertem Milesem i adagietto Mahlera, płynącymi z recepcyjnego radia. Jadę do Jazdu.

W drodze czuć i widać pustynny klimat. Góry pokolorowane w różnych odcieniach – pomarańcz, burgund, ugier. Przypominają niekiedy ormiański tuf wulkaniczny i barwy Erywanii.

Jazd to jedno z najgorętszych miejsc w Iranie z niewielką ilością opadów. Dziś niebo jest zachmurzone i spadają na mnie trzy krople (!). Czuję się wyjątkowo. Miasto to też największy ośrodek skupiający zaratusztrian, czcicieli ognia, wyznawców religii panującej w Persji nim Arabowie narzucili tu islam.

Podoba mi się. Gliniane domy, wąskie, meandrujące uliczki. Można zgubić się w nich jak w labiryncie, a przy okazji zerknąć w otwarte drzwi irańskich mieszkań. Na większych placach zawiewa wiatr, wywołując małe, piaszczyste trąby powietrzne.

Trafiam na plan filmu. Statystki w czadorach popiskują podekscytowane. Pewnie zaraz ich kilkusekundowa obecność na ekranie. Gromi je wzrokiem pięćdziesięcioparolatek z saddamowym wąsem. Po chwili klaps i w kadrze pojawia się – a jakże – duchowny, który klaruje coś ognieście mężczyźnie w granatowym garniturze.

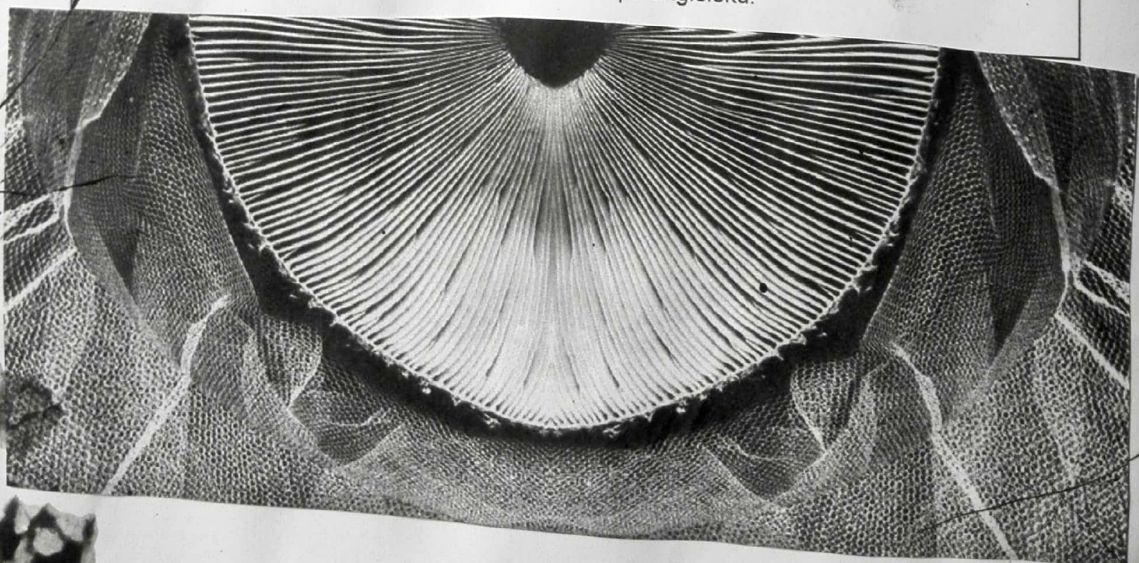
Snuję się dalej. Na jednym z miniaturowych placików zabaw może dziesięcioletnia dziewczynka ubrana w leginsy, turkusową bluzę i czarny hidżab kreśli nieskomplikowane baletowe kroki. Widać w tym płynność, nieprzypadkowość, wyuczenie. Przypatruję się, zastanawiając, czy w Iranie mają balet?

Dolatuje mnie dźwięk ludzkiego głosu, wzmocniony przez mikrofon. Podążam za nim.

Wzdłuż ściany meczetu i na chodniku przed nią kilkudziesięciu mężczyzn. Słuchają duchownego, który skrzecząc tłumaczy jakieś prawdy. Dopada mnie dwóch Irańczyków. Jeden pachnie kukurydzą i ma śpiochy w oczach, natomiast oczy drugiego hipnotyzują. Są szmaragdowe. Tłumaczy mi coś zawzięcie.

Zaraz już mam herbatę i ciastko z napisem Jazd. Po chwili niosą mi zimny napój w woreczku. Mężczyźni, którzy siedzą plecami do nas, zaczynają się odwracać. Duchowny cały czas mędrkuje. Po kilkunastu sekundach już wszyscy zauważają moją obecność i poklepują dywan obok siebie, zapraszając. Pokazują zniechęcająco, że gdy zdejmę buty, nie musi być to dla nich przyjemne. Niezrażeni dalej tłuką w dywany.

Ratuje mnie wiatr, który zrywa olbrzymi, czarny transparent. Być może ze słowami VIII Imama Rezy, bo podobny widziałem w Sziraz. Materiał opatula mnie niemal całego. W chwili, gdy mężczyźni wieszają go ponownie, znikam po angielsku.



Karol Fryta

- 1) Otwarcie Olsztyńskiego Lata Artystycznego zapoczątkował Festiwal Wschód Piękna.
  - a) orkiestra skłoniła słuchaczy do melancholijnych refleksji
  - b) Wschód Piękna pokonał deszczowy blask zachodzącego, lipcowego słońca
- 2) Dnia 9 lipca miał miejsce Slow Life Music Festival.
  - a) Olsztyniacy – zwolnijcie nie tylko pedał gazu
  - b) reset #powoli #złap oddech #kontemplacja
- 3) W dniach 14-15 lipca olsztyńska starówka brzmiała bluesem w ramach XXVI Międzynarodowego Festiwalu Olsztyńskie Noce Bluesowe.
  - a) ponadczasowy wymiar gatunku muzycznego porusza aktualne kwestie wolności, równości, miłości, zazdrości, samotności
  - b) żywiołowe aranżacje porwały do tańca międzypokoleniową publiczność
- 4) XXII Międzynarodowe Olsztyńskie Dni Folkloru Warmia odbyły się w dniach 18-22 lipca.
  - a) wielokulturowy korowód barwnych artystów przy dźwiękach muzyki i śpiewu przemierzył starówkę i tanecznie zaprezentował się na deskach amfiteatru
  - b) z czym kojarzy się wam folklor:
    - wiejska potańcówka
    - stragany na jarmarku
    - konsumpcja wiśniówki na ławeczce
    - ustawka kiboli / dresiarzy
- 5) Rap Festiwal 2 zagościł na olsztyńskiej starówce w dniach 27-29 lipca.
  - a) elo ziomek masz zajawkę na warsztaty skateboardingowe? Wciągnij bluzę i czapkę, chwyć pod pachę swą deseczkę, zmierz się w bitwie freestyle'owej
  - b) CH.W.D.P. Chowaj wódkę do plecaka ☺
- 6) Cykliczne, czwartkowe spotkania z szantą.
  - a) „hej żegluz żeglarzu po warmińskiej krainie, zabierz na pokład swój starą i młodą dziewczynę”
  - b) żeglarskie pieśni rozkołysały tłumnie zgromadzoną publiczność wzdłuż akwenu łyny
- 7) Dnia 30 lipca zaprezentował się Kabaret Młodych Panów.
  - a) terapia śmiechem
  - b) dawka bezpłatnej witaminy ś (śmiech)
- 8) Pierwszy dzień sierpnia był Dniem Niemena.
  - a) od 50 lat fenomenalnie zadziwia nas ten świat
  - b) „ czy mnie jeszcze pamiętasz?” niezmiennie, bezwzględnie, wczoraj, dziś i jutro
- 9) Teatr przy stoliku – dnia 7 sierpnia → Kamienica Naujacka.
  - a) mały stolik + 2 aktorki = wielka sztuka
  - b) nie sztuką jest pójść raz w życiu do teatru. Sztuką jest czerpać z jej dóbr jak najczęściej
  - c) zaprzyjaźnij się ze sztuką, zyskasz dożgonnego przyjaciela
- 10) W dniach 12-13 sierpnia w Centrum Rekreacyjno-Sportowym Ukiel odbył się Olsztyn Green Festival.
  - a) eko #zielony #zdrowo #woda #rodzinnie #muzyka
  - b) propagowanie zdrowego stylu życia poprzez rodzinną zabawę i relaks na plaży przy dźwiękach muzyki

## KRONIKA WYDARZEŃ

Papierowa!

TRZEMOC

Pedofilia

Obcy

CIAŁO

ÉTAT



etat

Piotr Binkowski

kobieta wygląda przez okno i pluje na chodnik  
wiem już że spóźnię się na autobus  
albo to on oszuka i przyjedzie za wcześnie  
za późno  
kłatwa już kielkuje

a może by tak nie pójść do pracy?  
zadzwoń

napiś maila: jestem bardzo chory  
nie daję rady ruszyć nogą więc jak mam przyjść skoro noga  
odmawia mi posłuszeństwa wiem  
wiem wszyscy stracimy przez to pieniądze  
produkcja stanie firma zrobi mniej a plany się posypią  
ale co z tego? przecież i tak jesteśmy już obrzydliwie bogaci